DZIŚ W NUMERZE:
ŁODZIANIE ROKU ■ MAŁA ZIEMIA ■ RAPORT SOCJOLOGA ■ STARSZY PAN I JEGO GORYL ■ CO SĄDZIMY O „CZTERDZIESTOLATKU"? ■ TAJEMNICA WIĘZIENIA W STAMMHEIM ■ WĘDRÓWKI ZIMĄ I LATEM ■ SPRAWA NOWICKIEGO?

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ■ ŁÓDŹ

ODGŁOSY

ROK XXI NR 11 (1057)
12 MARCA 1978 R.
CENA 3 ZŁ

Konstanty I. Gałczyński

PIĘKNE DZIEWCZYNY

fragment

Pracowite jak muzy: pielęgniarki,
murarki, konduktorki –
niechaj was moje rymy na cały świat
rozsławią:
i tę traktorzystkę blond na mazowieckich
równinach podczas wiosennej orki;
i tę motorową, jak kłos, jeżdżącą na
„szesnastce" we Wrocławiu;
i kasjerkę z Teatru Nowego; i siostrę
Teresę ze szpitala;
i tę dziewczynę jak noc cygańska co mi
oprawiała portret Bacha –
Sławię was moim wierszem płynącym jak
morska fala;
Sławię w rytmach; i w rymach;
w liściach; w kwiatach; i w ptakach

NIE STAĆ NA UBOCZU...

Rozmowa z doc. dr hab. JOANNĄ MASŁOWSKĄ zastępcą dyrektora Instytutu Podstaw Chemii Żywności PŁ

— Pani docent, pracownik naukowy jest stale zaabsorbowana pracą badawczą, a przecież prawie każdy ma rodzinę. Sprawy rodzinne pochłaniają wiele czasu, zwłaszcza kobietom...

— Wybitny chemik, były rektor Politechniki Łódzkiej, prof. Osman Achmatowicz twierdził, że pracownik naukowy, o ile chce poważnie myśleć o pracy badawczej, w ogóle nie powinien zakładać rodziny. Myślę, że nie zawsze jest konieczne aż tak drastyczne ograniczenie życia osobistego, choć zgadzam się, że działalność naukowa musi zajmować bezwzględnie pierwsze miejsce w przyjętej hierarchii spraw każdego naukowca, bez względu na jego płeć, wiek czy stopień naukowy. Prawdziwa twórczość naukowa wymaga pełnej koncentracji, spokoju, czasu, długotrwałych okresów eksperymentowania i interpretowania danych, stałej gotowości do atakowania trudnych problemów. Ktoś, kto większość czasu i energii poświęca sprawom osobistym i rodzinnym, w nauce może liczyć tylko na przypadkowy uśmiech losu, który zdarza się nie częściej niż główna wygrana w toto-lotku. Systematyczna, mrówcza praca jest bowiem podstawowym warunkiem wszelkich dokonań naukowych.

Córka Pani docent, dziś dorosła, była przecież kiedyś małym dzieckiem, wymagającym stałej opieki. Czy rola matki i żony, przy tak poważnym stosunku do pracy zawodowej, nie była dla Pani uciążliwością ponad siły?

— Nie. Zawdzięczam to pełnemu zrozumieniu i dużej pomocy ze strony męża oraz jego rodziców zawsze wtedy, gdy byłam zajęta obowiązkami zawodowymi. Nie bez znaczenia były też sprzyjające twórczej pracy warunki domowe oraz wspólnota zainteresowań z mężem, który także jest chemikiem. Kilka lat temu otrzymał stopień docenta. Córka, mająca obecnie 21 lat, swoje zainteresowania skierowała także na chemię i fotografię.

— Pani czasy studenckie — to lata pięćdziesiąte. Po uzyskaniu dyplomu — praca na Wydziale Chemicznym PŁ. Kto był Pani pierwszym szefem?

— Profesor Edward Józefowicz — dziś już nieżyjący wybitny chemik, wówczas kierownik Katedry Chemii Nieorganicznej. Był on godnym naśladowania, prawym człowiekiem o ogromnej wiedzy fachowej. W swej katedrze potrafił stworzyć atmosferę sprzyjającą twórczej pracy. Nie hamował inicjatyw — młodym adeptom nauki pozostawiał wiele swobody w wyborze zarówno tematyki, jak też metod i sposobów realizacji zamierzeń. Nie prowadził nikogo „za rączkę", ale w razie potrzeby chętnie służył pomocą i radą. Prof. Józefowicz był też promotorem mojej pracy doktorskiej, którą obroniłam w 1963 roku. Zarówno ta praca, jak i ukończona sześć lat później rozprawa habilitacyjna obejmowały zagadnienia z zakresu chemii tzw. związków kompleksowych.

— Teraz Pani docent sama kieruje zespołem naukowym. Proszę o przedstawienie czytelnikom tego zespołu oraz jego tematyki badawczej.

— Kieruję 20-osobowym Zespołem Chemii Bionieorganicznej i Analitycznej w Instytucie Podstaw Chemii Żywności. Jest to jeden z czterech zespołów naukowych naszego instytutu. Zajmujemy się przede wszystkim badaniami o charakterze podstawowym. Ich wyniki mogą być źródłem ważnych informacji dla producentów środków spożywczych, pasz, leków, kosmetyków i niektórych innych produktów chemicznych.

Głównym obiektem naszych zainteresowań są tzw. mikroelementy, czyli pierwiastki występujące w organizmach żywych w niezwykle małych, tzw. śladowych ilościach. Od 98 do 99 procent całej masy organizmów żywych stanowią makroelementy, czyli atomy czternastu pierwiastków takich, jak węgiel, tlen, wodór, azot, fosfor, potas, wapń, sód, siarka i inne. Od jednej tysięcznej do stutysięcznej procenta całej masy organizmu zajmują właśnie poszczególne mikroelementy. Są to: żelazo, kobalt, miedź, nikiel, cynk, mangan, molibden, bor, selen, lit i inne pierwiastki, które, jak wykazały badania, pełnią w każdym organizmie żywym bardzo ważne role, niewspółmierne do ilości, w jakich występują. Podobne znaczenie, choć mniej poznane, mają ultramikroelementy — złoto, rubid, rad i

Dalszy ciąg na str. 3

ŁODZIANIE 1977

Barbara Wójcicka

Kazimierz Dębski

Dziesiąty z kolei, a więc w pewnym sensie jubileuszowy już plebiscyt „Odgłosów" — „Łodzianie Roku" został rozstrzygnięty. Decyzją naszych Czytelników, którzy oddali swe głosy na dziesięciu pretendentów, zaszczytny tytuł przypadł:

pisarzowi TADEUSZOWI CHRÓŚCIELEWSKIEMU, muzykowi KAZIMIERZOWI DĘBSKIEMU, artystce TERESIE MAY-CZYŻOWSKIEJ, działaczce społecznej BARBARZE WÓJCICKIEJ.

Wszystkim laureatom serdecznie gratulujemy zwycięstwa, które jest nie tylko miarą Ich popularności, ale także potwierdzeniem wysokiego autorytetu, jakim cieszą się w Łodzi ludzie szczególnie zasłużeni dla miasta. Dowodzi tego ogromna ilość głosów oddanych na wszystkich pretendentów, wśród nich i tych, którzy nie znaleźli się w finałowej czwórce.

Są w naszym plebiscycie zwycięzcy, ale nie ma pokonanych, bowiem cała dziesiątka kandydatów, którzy ubiegali się o miano „Łodzianina Roku" to ludzie bez reszty oddani sprawie miasta, godni tego tytułu. Prezentując ich sylwetki, oddając pod osąd czytelników Ich postawy, mogliśmy jednocześnie, poprzez działalność tych ludzi, ukazać różne dziedziny życia kulturalnego i społecznego Łodzi, w których nasze miasto wyróżnia się szczególnie. I ten fakt uważamy za najważniejszy w naszym plebiscycie.

Przypomnijmy więc raz jeszcze nazwiska pozostałych pretendentów. Obok dzisiejszych laureatów, do tytułu „Łodzianina Roku" kandydowali:
dziennikarz Wojciech Drygas
reżyser filmowy Waldemar Podgórski
aktor Włodzimierz Saar
architekt Jerzy Samujiło
handlowiec Lech Sosnowski
grafik Paweł Udorowiecki

Serdecznie zapraszamy wszystkich Czytelników dnia 12 marca 1978 roku (niedziela) o godzinie 13-tej, do Muzeum Historii Miasta przy ul. Ogrodowej 15 na spotkanie ze wszystkimi zwycięzcami naszego plebiscytu oraz z tymi, którzy w nim nie zwyciężyli, choć w równym stopniu zasługują na tytuł „Łodzianina Roku". Podczas uroczystego ogłoszenia wyników plebiscytu tradycyjnie wręczymy naszym laureatom upominki. Na spotkaniu tym wręczymy także Czytelnikom, którzy nadesłali kupony plebiscytowe przewidziane regulaminem nagrody.

Wylosowali je:

Nagroda I — mistrz modelarstwa, Anatol Kmiecik, Łódź, ks. Mackiewicza 10/12 m. 33 — bon oszczędnościowy wartości 2500 zł.

Nagroda II — urzędnik, Zdzisław Marciniak, Łódź, Harcerska 16 — bon oszczędnościowy wartości 1500 zł.

Nagroda III — bibliotekarz Elżbieta Tomaszewska, Łódź Rzeszowska 4 — bon oszczędnościowy wartości 1000 zł.

Nagrody książkowe (pamiątkowe albumy) wylosowali: lekarz Lucyna Chwiałkowska zam. w Łodzi, ul. Orla 18, ekonomista Janusz Ciupiński, zam. w Poznaniu, Osiedle Czecha 44 m. 6, artystka Danuta Debich, zam. w Łodzi, ul Kopcińskiego 31a, pracownik umysłowy Zenobia Pleśniak, zam. w Warszawie, ul. Racławicka 25 m. 10. bankowiec Zdzisław Szadkowski, zam. w Łodzi, ul. Władysława Bytomskiej 79/81 m. 6.

Czytelnikom spoza Łodzi nagrody wyślemy pocztą.

W części artystycznej odbędzie się koncert, w którym wystąpią:

Elżbieta Karaś — Krasztel (fortepian), Dariusz Niemirowicz bas (śpiew), Helena Christenko (akompaniament). Zapowiada Krystyna Bykowska.

Teresa May-Czyżowska

Tadeusz Chróścielewski

SIERADZ — SKIERNIEWICE — PIOTRKÓW TRYBUNALSKI

OSIĄGNIĘCIA I ZAMIERZENIA

Dokonujące się w kraju przemiany pozwalają na konfrontację stereotypów z rzeczywistością. W naszej świadomości na przykład obraz trzech najbliższych Łodzi województw ukształtował się w oparciu o to wszystko, co posiadały one przed laty. I tak, jeśli mówimy o województwie sieradzkim — to myślimy najczęściej o „zielonym zagłębiu", a więc o tym potencjale gospodarczym, który tkwi w rolnictwie tego województwa.

Jeśli mówimy o województwie skierniewickim — to mamy przede wszystkim na uwadze instytuty naukowe — warzywnictwa i sadownictwa.

Jeśli mówimy o województwie piotrkowskim — to myślimy o piotrkowskich hutach szkła, fabryce maszyn górniczych i przemyśle lekkim Tomaszowa Mazowieckiego.

Uważna lektura materiałów przygotowanych na wojewódzkie konferencje sprawozdawczo-wyborcze, jakie w tych województwach odbyły się, pozwala stwierdzić, że takie wyobrażenia o województwach są już anachroniczne, nie odpowiadają prawdzie, bo nie bierze się w nich pod uwagę tego wszystkiego, co dokonano w ostatnich latach.

Od daty przeprowadzenia reformy administracyjnej minie niebawem trzy lata. Nie jest to czas długi, ale w tym czasie sporo dokonano. Odbicie tego znaleźć można w dokumentach konferencji wojewódzkich. Wynika z nich, że pogłębia się i utrwala proces integracji społeczeństwa w ramach nowych jednostek administracyjnych, że dzięki temu powstały warunki dla ujawnienia się i realizacji społecznej inicjatywy. Zarówno w gminach, jak i w województwie inaczej widzi się problemy społeczne i gospodarcze, w inny sposób szuka się rozwiązań. Inaczej rozumie się też odpowiedzialność za realizację programów rozwoju poszczególnych województw i gmin.

Popatrzmy, jak sprawy te wyglądają w poszczególnych województwach.

SIERADZKIE

Wśród trzech omawianych województw sieradzkie nie jest najmniejszym. Jego obszar wynosi 4 870 km kwadratowych, na którym mieszka 386,5 tysiąca osób. Prawie 28 procent mieszkańców województwa mieszka w 9 miastach. W województwie tym są 43 gminy.

Mimo że według danych z 1976 roku wartość produkcji przemysłu w przeliczeniu na jednego mieszkańca wynosiła 28 tys. zł, w województwie tym rozwija się przemysł, zwiększa on swoją produkcję i unowocześnia się. Ośrodkiem przemysłowym jest już nie tylko Zduńska Wola, ale również Łask, Wieluń i Sieradz.

Zduńską Wola znana była do tej pory z wyrobów przemysłu lekkiego. „Wolana", „Zwoltex", „Wola" dostarczały na rynek poszukiwanych towarów. Obecnie w Zduńskiej Woli wybudowano fabrykę domów i powstają Zakłady Materiałów Izolacji Wodoszczelnej. W Wieluniu rozbudowie ulegają Zakłady Urządzeń Galwanizacyjnych i Lakierniczych „ZUGIL". W Działoszynie Kombinat Cementowo-Wapienniczy „Warta". W Sieradzu rozpoczęto rozbudowę „Siry", a w Łasku „Wólczanki".

Rozbudowuje się również przemysł spożywczy: Zakłady Mleczarskie w Sieradzu, budują się nowe przetwórnie w Tymienicach, Zakłady Mleczarskie w Wieluniu i Zakłady Jajczarskie w Poddębicach.

Powstały nowe przedsiębiorstwa budowlane: Sieradzki Kombinat Budowlany, Wojewódzka Spółdzielnia Budownictwa Wiejskiego oraz Przedsiębiorstwo Budownictwa Rolniczego w Wieluniu. Zmodernizowano Zakłady Materiałów Budowlanych w Łasku, rozbudowało się Przedsiębiorstwo Robót Inżynieryjnych w Zduńskiej Woli.

Te przedsięwzięcia nie powinny nikogo dziwić, gdyż gospodarka województwa sieradzkiego, rozwijając się intensywnie, musi dysponować dobrze rozwiniętym przemysłem budownictwa przemysłowego i mieszkaniowego. Na nowe mieszkania czekają ludzie w miastach i na wsi. W ostatnim czasie oddano do użytku 2 388 mieszkań w miastach i 2 414 — na wsi.

W referacie wygłoszonym na II Wojewódzkiej Konferencji Sprawozdawczo - Wyborczej PZPR w Sieradzu I sekretarz KW — **Tadeusz Stasiak** zwrócił między innymi uwagę na to, że fundusze inwestycyjne, jakimi dysponuje województwo nie są w pełni wykorzystywane. I tak zadania planu terenowego zostały wykonane w 90 procentach, a zadania inwestycyjne określone przez Ministerstwo Budownictwa i Przemysłu Materiałów Budowlanych — w 70 procentach. Zwrócił on również uwagę i na to, że do tej pory nie udało się w należyty sposób przygotowywać terenów pod budownictwo, że nie realizuje się zgodnie z założeniami planu budownictwa towarzyszącego, a więc nie buduje się na czas żłobków, przedszkoli, sklepów, pawilonów handlowych i usługowych.

To przysłowiowe „zielone zagłębie" dysponuje 288,5 tys. ha gruntów ornych, nieco więcej niż skierniewickie, które posiada 266,3 tys. ha i dużo mniej niż piotrkowskie, które ma 332,8 tys. ha. Według danych GUS z 1976 roku województwo sieradzkie osiągnęło z 1 ha 21,3 q czterech zbóż, podczas, gdy znacznie zasobniejsze w ziemię woj. piotrkowskie, 21,2 q, a najmniejsze z nich, skierniewickie — 24,8 q. Trzeba jednak pamiętać, że ostatnie lata były trudne dla rolnictwa i dane z jednego roku mogą dawać niezupełnie wyraźny obraz.

Nie były to również dobre lata dla hodowli i na początku 1978 roku stan pogłowia trzody chlewnej był 3,7 procent niższy w porównaniu do stanu z 1975 roku, a pogłowie bydła o 4,5 procent niższe.

W wywiadzie udzielonym „Głosowi Robotniczemu" przed II Wojewódzką Konferencją Partyjną I sekretarz KW PZPR w Sieradzu — **Tadeusz Stasiak** powiedział, że **„gospodarka żywnościowa, w tym szczególnie rozwój produkcji rolnej, stanowiła w działalności wojewódzkiej organizacji partyjnej jeden z jej kluczowych problemów"**. Jednym ze skutków takiego działania jest fakt, że obecnie jest w województwie sieradzkim 99 zespołów rolnych, 1 200 gospodarstw indywidualnych posiada karty gospodarstw specjalistycznych, a 17 dużych wsi specjalizuje się w wybranym kierunku produkcji rolnej.

Koncentracja uwagi wojewódzkiej organizacji partyjnej na problemach rozwoju rolnictwa nie zmienia jednak faktu, że jest to również województwo szybko uprzemysławiające się, zwiększające potencjał przemysłu, bazę wytwórczą i osiągające coraz lepsze wyniki produkcyjne. W ostatnich dwóch latach blisko o 30 procent zwiększyła się sprzedaż wyrobów i usług przedsiębiorstw przemysłowych tego województwa. I o tym trzeba pamiętać, kiedy mówi się o województwie sieradzkim.

SKIERNIEWICKIE

Pod względem obszaru jest to najmniejsze z trzech omawianych województw, gdyż zajmuje tylko 3 957 km kwadratowych. Na tym obszarze mieszka w 9 miastach i 37 gminach 389,8 tys. osób. W miastach mieszka 37,1 procent ogółu ludności. Wartość produkcji globalnej przemysłu w przeliczeniu na 1 mieszkańca wynosi tutaj 40 tys. zł.

Zakłady przemysłowe Żyrardowa, Skierniewic, Sochaczewa, Rawy Mazowieckiej i Brzezin dały w ubiegłym roku produkcję, której wartość była o 5 mld zł większa niż przed dwoma laty. Ten wzrost produkcji osiągnięto w 95 procentach przez wzrost wydajności pracy. Warto również podkreślić, że w tym czasie produkcja na rynek, dostarczana przez zakłady przemysłowe województwa skierniewickiego, była większa przeszło o 38 procent, a produkcja na eksport — o przeszło 33 procent. Uwaga wojewódzkiej organizacji partyjnej skierowana była przede wszystkim na sprawę jakości produkcji. I tak będzie dalej. Komitet Wojewódzki PZPR w Skierniewicach przyjął w maju 1977 roku na swoim plenarnym posiedzeniu program dalszego rozwoju nowoczesnej produkcji i o wyższej jakości.

W wywiadzie udzielonym „Głosowi Robotniczemu" przed II Wojewódzką Konferencją Sprawozdawczo - Wyborczą PZPR w Skierniewicach I sekretarz KW — **Ryszard Bryk**, mówiąc o problemach jakości produkcji, podkreślił, że **„szczególne osiągnięcia w tej dziedzinie miały zakłady „Stella" w Żyrardowie, „Zatra" w Skierniewicach, „Damina" w Brzezinach, „Chemitex" w Sochaczewie"**. Stwierdził on również, że **„wydatnie poprawiła się jakość oddawanych do użytku mieszkań"**: Zastrzegł jednak, że **„jest to dopiero początek działań, podjętych w celu poprawy jakości i nowoczesności produkcji"**.

Województwo skierniewickie leży między dwoma wielkimi aglomeracjami: warszawską i łódzką. Fakt ten określa rolę, jaką rolnictwo tego województwa powinno spełniać w stosunku do obu aglomeracji. Stanowi ono zaplecze rolnicze dla tych aglomeracji. Nie przypadkiem więc w programie rozwoju tego województwa znaczną rolę odgrywa rolnictwo, warzywnictwo i sadownictwo. Przy współpracy instytutów naukowych — sadownictwa i warzywnictwa — opracowano program zwiększenia do roku 1980 produkcji owoców o 26 procent, a warzyw o 34 procent.

Głównym kierunkiem działania w rolnictwie jest dalszy rozwój specjalizacji. Obecnie jest w województwie skierniewickim 1502 gospodarstwa specjalistyczne. Zakłada się, że w 1978 roku powstanie 2 000 dalszych gospodarstw specjalistycznych, a do 1980 roku będzie ich co najmniej 5 500.

Program działania wojewódzkiej organizacji partyjnej w skierniewickim zakłada, że w przemyśle w latach 1978 — 1979 produkcja towarów przeznaczonych na rynek krajowy osiągnie wartość 7 miliardów złotych, a na eksport — 2,8 mld złotych. Wybuduje się w tym czasie o 27 procent więcej mieszkań. Powstaną nowe przedsiębiorstwa: zamrażalnia warzyw i owoców, fabryka hydroforów.

„Ambicją naszą — mówił na II Wojewódzkiej Konferencji Sprawozdawczo - Wyborczej PZPR I sekretarz KW partii w Skierniewicach, Ryszard Bryk — **i partyjnym obowiązkiem jest uczynić województwo piękniejszym i zasobniejszym, a sprawę wyższej jakości życia przedmiotem codziennej troski i odpowiedzialności członków i kandydatów partii, młodzieży, kobiet, robotników i rolników, pracowników nauki i inteligencji".**

PIOTRKOWSKIE

Jest to największe województwo wśród trzech omawianych. Obejmuje ono obszar 6 261 km kwadratowych. W 10 miastach i 54 gminach mieszka 584 tys. osób, a z tego 37,5 procent w miastach. Wartość globalnej produkcji w 1976 roku — według danych GUS — wynosiła na 1 mieszkańca 45 tys. zł.

W dwu ostatnich latach w wyniku rozbudowy i modernizacji zakładów produkcyjnych województwa piotrkowskiego wzrósł jego potencjał produkcyjny o 5 miliardów zł. Nastąpił przyrost produkcji o 25 procent, a osiągnięto to w wyniku wprowadzenia postępu techniczno-organizacyjnego i podnoszenia wydajności pracy. Wyniki te uzyskały załogi przedsiębiorstw przemysłowych Piotrkowa Trybunalskiego, Tomaszowa Mazowieckiego, Radomska, Opoczna, Bełchatowa, Niewiadowa i Zelowa. Wynikom ich dobrej pracy rynek wewnętrzny i eksport zawdzięczają ponadplanową produkcję przekraczającą wartość 1,5 miliarda zł.

Na mapie gospodarczej województwa piotrkowskiego powstaje nowy ośrodek produkcyjny: **Bełchatowski Okręg Gospodarczy.** Obejmuje on 1 069 kilometrów kwadratowych, co stanowi 17 procent ogólnej powierzchni województwa. Na obszarze tym znajdują się dwa miasta: Piotrków Trybunalski i Bełchatów oraz 8 gmin. Oba te miasta — Piotrków Trybunalski i Bełchatów — spełniać będą w Bełchatowskim Okręgu Gospodarczym rolę ośrodków dyspozycyjnych, handlowo-usługowych i kulturalnych.

Powstający Zespół Górniczo-Energetyczny „Bełchatów" da w niedalekiej już przyszłości około 50 procent krajowego wydobycia węgla brunatnego oraz 25 procent wytwarzanej w kraju energii elektrycznej.

Dotychczasowe zadania — mimo wielu trudności — są ambitnie realizowane. W ciągu ostatnich dwu lat robotnicy budujący kopalnię odkrywkową węgla brunatnego wykonali ponad plan pracę o wartości 100 milionów zł. Oddali oni przed terminem pierwszy układ K — T — Z, składający się ze współpracujących ze sobą: koparki — taśmociągu i zwałowarki. Dzięki temu w ubiegłym roku zebrano ponad plan 4 miliony ton nadkładu, przyśpieszając tym budowę kopalni odkrywkowej.

II Wojewódzka Konferencja Sprawozdawczo-Wyborcza PZPR, która obradowała w Piotrkowie Trybunalskim, określiła trzy zasadnicze kierunki działania, na których wojewódzka organizacja partyjna powinna koncentrować swoją uwagę:

— umacniać kierowniczą rolę partii i jej ofensywność w działaniu, pogłębiać demokrację socjalistyczną,

— inspirować działania, które wpływałyby na doskonalenie procesu inwestycyjnego, rozbudowę potencjału produkcyjnego przedsiębiorstw budowlanych, aby przez to można było planowo realizować zadania inwestycyjne w Bełchatowskim Okręgu Przemysłowym, jak i w innych rejonach województwa oraz w budownictwie mieszkaniowym,

— inspirować takie działania w przemyśle i rolnictwie, aby powstawały warunki dla dalszego rozwoju produkcji rynkowej i eksportowej oraz dla wzrostu produkcji rolnej i hodowli.

„Skala naszych dokonań od chwili powstania województwa jest znaczna — powiedział w referacie na II Wojewódzkiej Konferencji Sprawozdawczo-Wyborczej PZPR I sekretarz KW partii w Piotrkowie Trybunalskim, Stanisław Składowski. — **Lata najbliższe przyniosą jeszcze szybszy rytm przemian gospodarczych. Wystarczy wymienić, że każdy dzień pracy województwa w 1978 roku będzie nam przynosił 138 milionów zł produkcji przemysłowej oraz wzrost majątku trwałego o 50 milionów zł.**

Naszym partyjnym obowiązkiem będzie kształtowanie zaangażowanych postaw w realizacji planu i wzbogacania go o nowe inicjatywy na wszystkich odcinkach działalności społeczno-gospodarczej, przez każdego na swoim stanowisku pracy".

* * *

Wojewódzkie konferencje sprawozdawczo-wyborcze w Sieradzu, Skierniewicach i Piotrkowie Trybunalskim nakreśliły zadania gospodarcze i społeczne na najbliższe lata oraz wybrały nowe władze. W **Sieradzu** I sekretarzem KW PZPR został wybrany **Tadeusz Stasiak**, sekretarzami: **Jan Dębowski, Jadwiga Gałamon i Włodzimierz Kozar.**

W **Skierniewicach** I sekretarzem KW PZPR wybrano **Ryszarda Bryka**, sekretarzami: **Stanisława Bartosa, Kazimierza Borczyka, Teresę Garlińską i Tadeusza Szymańskiego.**

W Piotrkowie Trybunalskim I sekretarzem KW PZPR został **Stanisław Składowski**, sekretarzami: **Andrzej Detrych, Tadeusz Rybak, Włodzimierz Stefański i Ewa Trojanowska.**

L.W.

W dniu 5 marca zmarł w Warszawie w wieku 51 lat

ZBIGNIEW ZAŁUSKI

wybitny pisarz i działacz polityczny, pułkownik Wojska Polskiego, odznaczony m. in. Orderem Sztandaru Pracy I klasy.

Kultura polska poniosła niepowetowaną stratę.

Zespół „ODGŁOSÓW"

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, EUGENIUSZ IWANICKI, WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI (sekretarz redakcji). Stale współpracują: JAN BĄBIŃSKI, ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, ANDRZEJ MAJER, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC.

NIE STAĆ NA UBOCZU...

Dalszy ciąg ze str. 1

inne — występujące w jeszcze mniejszych ilościach. Okazuje się, że wiele podstawowych czynności życiowych organizmu, jak np. zwalczanie niektórych chorób, m.in. nowotworów i cukrzycy, uzależnione jest od zawartości mikro- i ultramikroelementów. Nic dziwnego, że nazywa się je często biopierwiastkami albo pierwiastkami życia.

Aktualnie, w ramach problemu międzyresortowego koordynowanego przez Uniwersytet Łódzki, kieruję badaniami nad wpływem niektórych jonów metali występujących w ilościach śladowych na elektrochemiczne własności mocznika, tiomocznika i ich pochodnych oraz niektórych innych związków organicznych.

— Czy w zespole Pani docent prowadzi się także badania bezpośrednio służące praktyce?

— Oczywiście, tak. Pragnę jednak zaznaczyć, że temat, który wymieniłam przed chwilą też nie jest odległy od praktyki. Przecież mocznik, czyli według naszej chemicznej nomenklatury — karbamid, jest jednym z podstawowych surowców służących do produkcji nawozów mineralnych. Wyniki naszych badań mogą przyczynić się do opracowania nowych zestawów mieszanek nawozowych stosowanych w praktyce rolniczej.

Prowadzimy też prace, które w ostatecznym efekcie powinny przyczynić się do intensyfikacji hodowli. W ramach programu rządowego PR-1: „Optymalizacja produkcji i spożycia białka" zajęliśmy się problemem jakości pasz. Między innymi opracowujemy, wspólnie z kierowanym przez doc. dr J. Górę Zespołem Chemii Bioorganicznej, sposoby wykorzystania wielogatunkowych zwierzęcych tłuszczów odpadowych do produkcji pasz. Problem ten sprowadza się do opracowania metod usuwania z tłuszczów związków zapachowych i toksycznych oraz do wybielania tłuszczów. Oczyszczone tłuszcze będą dodawane do pasz, aby podnieść ich kaloryczność. Interesują nas także inne dodatki paszowe, jak witaminy, enzymy, aminokwasy, makro- i mikroelementy. Wspólnie z Instytutem Biochemii Technicznej, a także z innymi instytutami naszego wydziału prowadzimy ilościowe i jakościowe badania poszczególnych składników, a także badamy przydatność niektórych metod analitycznych stosowanych obecnie w przemyśle paszowym.

Prace, o których mówię są naszą odpowiedzią na konkretne zapotrzebowanie przemysłu. Realizujemy je na podstawie umowy, jaką wspólnie z Instytutem Biochemii Technicznej i Środowiskowym Laboratorium Analizy Środków Spożywczych zawarł nasz instytut ze Zjednoczeniem Przemysłu Paszowego „Bacutil".

— Można stąd wnosić, że większość prac o charakterze wdrożeniowym, prowadzonych pod Pani kierunkiem, dotyczy przemysłu paszowego...

— Tak, choć „Bacutil" nie jest naszym jedynym kontrahentem przemysłowym. Ostatnio np. zajmujemy się, na zlecenie przemysłu, badaniami poziomu mikroelementów w niektórych kosmetykach. Sprawna koordynacja prac przez warszawskie zakłady „Polena-Uroda" decyduje o tym, że wyniki naszych badań są niemal natychmiast brane pod uwagę w bieżącej produkcji zakładów kosmetycznych. Ma to duże znaczenie, gdyż wchłaniane, głównie przez skórę, w nieodpowiednich, a więc zbyt dużych lub zbyt małych ilościach, mikroelementy zawarte w produktach kosmetycznych, wpływają niekorzystnie na zdrowie użytkowników.

Podobnych zamówień ze strony przemysłu instytut nasz, a w szczególności zespół, którym kieruję, otrzymuje wiele. Przykładowo podam, że badamy poziom mikroelementów w mączce ziemniaczanej, syropie skrobiowym, winie, a także w drożdżach paszowych i spożywczych. Nieco inny charakter miała praca, jaką wykonaliśmy w ubiegłym roku dla łódzkiego „Wizametu" — opracowaliśmy recepturę produkcji specjalnych past służących do polerowania ostrzy żyletek. Dotychczas pasty tego typu trzeba było sprowadzać z Wielkiej Brytanii.

Obecnie pracujemy nad doborem stabilizatora eteru, czyli związku chemicznego zapobiegającego procesowi samoutleniania eteru narkozowego i leczniczego.

— Czy tak duża liczba prac o charakterze wdrożeniowym nie przeszkadza w prawidłowej realizacji programu badań podstawowych Zespołu Chemii Bionieorganicznej i Analitycznej?

— Tak szczęśliwie się składa, że nie musimy dokonywać ścisłego podziału naszych prac naukowych na stosowane i podstawowe. Badania o charakterze poznawczym staramy się tak ukierunkować, by ich wyniki nie były obojętne dla praktyki gospodarczej. Już w pierwszych rozmowach z koordynatorami poszczególnych problemów, w momencie precyzowania tematyki badawczej, potrzeby przemysłu determinują nasze decyzje. Prace wdrożeniowe są wówczas naturalną konsekwencją badań podstawowych ostatnim ogniwem cyklu badawczego. Podam przykład: Obecnie uczestniczymy w rozwiązywaniu problemu międzyresortowego MR-14 koordynowanego przez Uniwersytet im. Marii Skłodowskiej-Curie w Lublinie. W ramach tego problemu pracujemy nad znalezieniem optymalnych metod rozdziału pewnych mieszanin, w których występują tzw. związki chelatowe (pierścieniowe). Chociaż te prace mają typowo poznawczy charakter, to jednak wszystkie próby wykonujemy nie na dowolnych mieszaninach, lecz tak dobieramy układy modelowe, aby możliwie najmniej odbiegały one od stosowanych w praktyce przemysłowej.

— Z wypowiedzi Pani docent wynika, że zespół kierowany przez Panią skupia się na rozwiązywaniu problemów koordynowanych centralnie, a więc uznanych za szczególnie ważne dla gospodarki narodowej. Satysfakcji z działania na ważnym odcinku towarzyszy zwykle zwiększone ryzyko porażki. Czy związana z nim odpowiedzialność nie jest zbyt dużym ciężarem dla kobiety?

— Właściwie zaplanowana i dobrze zorganizowana praca pozwala zminimalizować ryzyko. Nie pracujemy „w ciemno". Co roku sporządzamy raporty z przebiegu badań, które przedstawiamy odpowiednim komisjom ekspertów. Po dyskusji, komisja taka ocenia naszą pracę i w razie potrzeby wprowadza pewne korekty do wieloletniego planu badawczego. Stan zaawansowania badań wpływa też bezpośrednio na fundusze przydzielane przez koordynatorów zespołom uczestniczącym w rozwiązywaniu problemu. Mamy szczęście do koordynatorów. Wykazują oni dużą elastyczność w dysponowaniu środkami finansowymi. Szybkie postępy naszych badań oraz ich pozytywna ocena sprawiły, że otrzymaliśmy zwiększone środki na zakup aparatury.

— Jakość aparatury badawczej, biorąc pod uwagę specyfikę prac — analizę pierwiastków występujących w minimalnych ilościach w badanych obiektach, ma zapewne znaczenie zasadnicze dla Pani zespołu.

— Tak. Zarówno tempo prac badawczych, jak też ich efektywność w znacznym stopniu zależą od posiadanej przez nas bazy aparaturowej. Choć nie mamy jeszcze wszystkich aparatów i przyrządów jakie się nam marzą, to jednak mogę stwierdzić z pełną satysfakcją, że podstawowe nasze potrzeby zostały zaspokojone. Posiadamy nowe spektrofotometry, polarografy, potencjostaty i wiele innych. Ponadto mamy możliwość prowadzenia badań na aparaturze mieszczącej się „po sąsiedzku", w Środowiskowym Laboratorium Analizy Środków Spożywczych przy Wydziale Chemii Spożywczej PŁ i często z niej korzystamy.

— Jest Pani zastępcą dyrektora instytutu do spraw kształcenia i wychowania. Na czym polega ta funkcja?

— Organizatorem działalności dydaktyczno-wychowawczej na wydziale jest dziekanat. Moja rola sprowadza się do merytorycznego nadzorowania pracy wszystkich czterech zespołów dydaktycznych Instytutu Podstaw Chemii Żywności. Tylko jeden z tych zespołów prowadzi specjalizację dla studentów starszych lat. Jest to chemia i technologia ziół i aromatów spożywczych oraz tytoniu. Pozostałe trzy zespoły są odpowiedzialne za „prace od podstaw" ze studentami pierwszego i drugiego roku.

Wielu nowo przyjętych studentów wykazuje duże braki w wiadomościach przewidzianych do opanowania programem szkolnym. Praca nie jest więc łatwa. Na pierwszych wykładach i ćwiczeniach trzeba często wracać do chemicznego abecadła. Dążymy oczywiście do stałego wzrostu poziomu zajęć, których prowadzenie przejęliśmy niespełna trzy lata temu. Przez ten czas opracowaliśmy nowy program nauczania i stale doskonalimy jego realizację, zorganizowaliśmy i całkowicie wyposażyliśmy laboratoria i pracownie dla studentów. Pewne nadzieje na poprawę poziomu kształcenia wiążemy też ze zmianą w systemie rekrutacji na kierunek „chemia" w politechnikach. Obecnie kandydat ma prawo wyboru drugiego, obok matematyki, przedmiotu egzaminacyjnego — fizyki lub chemii. Dotychczas egzaminów z chemii nie było w ogóle.

— Nadzoruje Pani pracę zespołu egzaminatorów z chemii. Czyżby Państwo już teraz myśleli o lipcowej rekrutacji?

— Oczywiście. Przygotowania do akcji rekrutacyjnej są już daleko zaawansowane. Właśnie teraz opracowujemy zestawy tematów z chemii, wykorzystując doświadczenia z roku ubiegłego, kiedy to po raz pierwszy kandydaci zdawali egzaminy wstępne z tego przedmiotu.

— Jest pani docent aktywną działaczką społeczną. Ponieważ wyliczenie wszystkich pełnionych przez Panią obecnie i w przeszłości funkcji społecznych zajęłoby zbyt dużo miejsca, proszę o podanie tej najważniejszej.

— Jestem prezesem Oddziału Łódzkiego Polskiego Towarzystwa Chemicznego.

— Łódź jest bodaj najsilniejszym w kraju ośrodkiem naukowym w dziedzinie nauk chemicznych. Pracy na tym stanowisku ma więc Pani zapewne wiele...

— Ostatnio dużo czasu poświęcam organizacji zjazdu naukowego PTCh oraz Stowarzyszenia Inżynierów i Techników Przemysłu Chemicznego. Ma on się odbyć w Politechnice Łódzkiej w dniach 20—22 września br. Obrady, pod ogólnym hasłem: „Nauki chemiczne gospodarce narodowej", toczyć się będą w dziesięciu sekcjach problemowych oraz w dwóch sympozjach towarzyszących. Spodziewamy się, oprócz udziału najwybitniejszych specjalistów z kraju, także wielu gości zagranicznych.

— Czy uciążliwe prace organizacyjne związane z tym zjazdem oraz inne obowiązki społeczne nie przeszkadzają Pani w pracy zawodowej?

— Ależ skąd?! Działalność społeczna jest mi nawet bardzo pomocna w pracy. Uważam, że podstawowe obowiązki zawodowe należy wykonywać systematycznie i możliwie jak najlepiej. Na pracę społeczną przeznaczam tzw. czas wolny. Staram się jednak robić tylko to, co daje mi zadowolenie. Człowiek, który nie stoi na uboczu, lecz aktywnie włącza się w bieg spraw swego środowiska, jeśli w dodatku znajduje w tym satysfakcję, osiąga zazwyczaj lepsze wyniki w pracy zawodowej.

— Na początku naszej rozmowy podkreślała Pani znaczenie systematyczności i pracowitości. Jakie inne cechy ocenia Pani jako ważne dla naukowca.

— Upór i konsekwencję w dążeniu do celu oraz odporność na drobne przeszkody utrudniające realizację przyjętych zadań. Pracownik naukowy, jeśli chce osiągnąć sukcesy zawodowe musi ponadto odznaczać się dociekliwością, wyobraźnią i umiejętnością logicznego myślenia, a w szczególności analizowania i uogólniania wyników.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał
PAWEŁ PATORA

Foto: W. Parys

DZIEŁA CIĄG DALSZY

Dopiero przed kilkoma dniami dotarł do mych rąk drugi tom wielkiego dzieła Fernanda Braudela „Morze Śródziemne i świat śródziemnomorski w epoce Filipa II". O pierwszym pisałem na tym miejscu wówczas, kiedy się ukazał, to jest w 1976 roku. Wtedy też Wydawnictwo Morskie zapowiedziało, że drugi tom „ukaże się w II kwartale 1977 r." Minął nie tylko drugi, ale i czwarty kwartał, i jeszcze szmat nowego, 1978 roku, zanim obietnica ta miała się ziścić. Ale lepiej późno niż wcale, tym bardziej że chodzi o dzieło szczególnego znaczenia. Chwali się Wydawnictwu Morskiemu w Gdańsku, chwali się inicjatorom tego trudnego i ambitnego przedsięwzięcia, tłumaczom, redaktorom i wszystkim, którzy przyłożyli doń swą życzliwą rękę, że polska edycja tej monumentalnej książki wypadła więcej niż okazale.

Warto było, by się tak stało, bowiem dzieło Fernanda Braudela jest z całą pewnością jednym z najwybitniejszych osiągnięć współczesnej historiografii nie tylko w skali ojczyzny autora — Francji, ale w skali ogólnoświatowej. Tłumaczone na różne języki — czemu przecież nie sprzyjał jego rozmiar (123 arkusze druku!) — dyskutowane i omawiane w wielu krajach, stało się dziś pozycją właściwie już klasyczną, bez której nie może się obyć — niezależnie od własnej specjalizacji naukowej — żaden nowoczesny historyk. „Morze Śródziemne" silnie oddziałało na procesy modernizacji nauki historycznej w świecie, zapłodniło licznych uczonych do poszukiwania nowych dróg rozwoju owej jakże starej, ale wciąż przecież żywej dyscypliny naukowej, której na imię historia.

Jest Fernand Braudel czołowym reprezentantem historiograficznego kierunku, zwanego w świecie „szkołą Annales". Nazwa ta tak się już utarła, że na nic nie zdają się protesty niektórych przedstawicieli kierunku powiadający, że „szkoły Annales" po prostu nie ma, że jest tylko nowoczesna historiografia francuska, zyskująca sobie coraz większe uznanie w świecie. Autor „Morza Śródziemnego" jest uczniem współzałożyciela kierunku Lucien Febvre'a, którego dzieło o zagadnieniu niewiary w XVI stuleciu, wydane w okupowanym Paryżu, zostało dedykowane właśnie F. Braudelowi, przebywającemu wówczas w niemieckim oflagu. Jest F. Braudel następcą L. Febvre'a najpierw w Collège de France, potem w École Pratique des Hautes Etudes i na stanowisku redaktora organu kierunku — „Annales". Wedle jego własnych słów nie znał osobiście drugiego z założycieli „szkoły", wielkiego historyka i bohatera francuskiego ruchu oporu Marc Blocha. Nie znał, to prawda, ale M. Bloch wiedział o nim, skoro nazwisko autora „Morza Śródziemnego" pojawia się raz po raz w prywatnej korespondencji między M. Blochem i L.Febvre'em, którą miałem niegdyś okazję — dzięki uczynności F. Braudela — przestudiować.

Jest F. Braudel kontynuatorem, a zarazem reformatorem kierunku naukowego, stworzonego przez swoich mistrzów. Za jego to właśnie sprawą dokonało się w „szkole Annales" przejście od programu historii „integralnej" do historii „globalnej", której wybitnym przykładem jest właśnie dzieło o „Świecie śródziemnomorskim". Nie miejsce tu na przedstawianie tej koncepcji: najlepszą jej prezentację znajdzie czytelnik w świeżo wydanym dziele. Warto jednak zwrócić przy tej okazji uwagę na jej pewne istotne — w naszym przekonaniu — cechy charakterystyczne. Francuski uczony bada „ewolucję historyczną", tropiąc zróżnicowanie dynamiki i rytmu zmian poszczególnych sfer dziejowej rzeczywistości i w związku z tym buduje swoją słynną już dziś koncepcję rytmów historycznego czasu. Jest to z pewnością znaczące novum na obszarze historiografii, podchwycone zresztą także i poza nim, by wspomnieć tu o pewnych rozważaniach snutych na temat czasu przez L. Althussera, powstałych wyraźnie pod wpływem myśli braudelowskiej. Jeżeli jednak zapytamy o sposób powiązania ze sobą owych różnych rytmów historycznego czasu, tak pięknie wyróżnionych przez historyka, wówczas okaże się, że jego refleksja wykazuje tu raczej filiacje z pozytywizmem, aniżeli z dialektycznym widzeniem dziejów, proponowanym przez marksizm. Spoiwem wiążącym różne sfery badanej przez F. Braudela rzeczywistości jest sieć stosunków międzyludzkich, w szczególności związków gospodarczych, związków wymiany, w jej historycznie zróżnicowanych, zmieniających się jak w kalejdoskopie formach. Nie bez racji wiąże się myśl braudelowską z inspiracjami strukturalistycznymi, to jednak, co proponuje historyk, niewiele ma wspólnego z ahistorycznym w gruncie rzeczy strukturalizmem w stylu C. Levi Straussa, notabene wieloletniego współpracownika redagowanego przez autora „Morza Śródziemnego" periodyku. Strukturalizm braudelowski ma charakter umiarkowany, unika skrajności, jest przy tym uwrażliwiony na dynamikę, na zmienność świata. Ale — i to jest zasługą F. Braudela — owa dziejowa zmienność jest przezeń rozumiana w nowych kategoriach: historia, jaką uprawia, to nie tylko dzieje zmian, ale również trwania, kontynuacji niezmiennego stanu nieraz przez całe dziesięciolecia. Dla F. Braudela to także historia. Nie tylko zresztą dziś dla niego samego. Autor „Morza Śródziemnego" jest bowiem wychowawcą ogromnej liczby uczniów, działających w różnych krajach, którzy podjęli i rozwinęli, nieraz je krytycznie weryfikując, wiele koncepcji mistrza. Historię „globalną" F. Braudela przekształcają oni w historię „serialną", poszukują nowych obszarów badawczych, nowych technik. I sam F. Braudel nie stoi dziś w miejscu, dowodem nie ukończone jeszcze wielkie dzieło uczonego o „Cywilizacji materialnej i kapitalizmie", ukazujące się od 1967 roku.

ANDRZEJ F. GRABSKI

ANATOL KUDRAWIEC

PRZEZNACZENIE

(opowiadanie)

W drewutni było jasno i sucho i powietrze wyjałowione z wszelkich zapachów, jak zimą w pustej chacie. Dziwne, ale Piotr nie od razu spostrzegł Żulika, który leżał w pobliskim kącie — zadem do wrót z odrzuconym na bok ogonem.

Piotr zawołał na psa:

— Żulik!

Pies nie poruszył się, był jak martwy. Piotr zbliżył się jeszcze o kilka kroków:

— Żulik! — teraz zawołał głośniej, z niecierpliwością. I znów żaden włosek sierści nie drgnął na grzbiecie psa. Pod skórą ostro zaznaczały się kręgi grzbietu i żebra, które wznosiły się ledwie zauważalnie: pies oddychał. Przez Piotra przebiegł dreszcz, jakby patrzył na nieboszczyka, na kochanego człowieka, który teraz umiera i on, Piotr będzie musiał go chować. Wyszedł na dwór. Spod nóg posypały mu się kurczęta, zagdakała zakrzyczała rozpaczliwie kwoka w krzakach bzu buszowały wróble. Oślepiające słońce stało wysoko.

— Coś pies nie odzywa się. Czy nie zachorował? — zapytał matkę Piotr, wchodząc do chaty.
— On już od zimy choruje — nie zdycha i nie zdrowieje. A niechby się już przestał męczyć. Zestarzał się, jest głuchy, bezzębny.
— A czy dajecie mu przynajmniej jeść?

— Czy to prosiątko malutkie, żeby się jeszcze z nim niańczyć? Świnie jedzą, to i jemu skapnie. Prawda, że coś ze dwa dni nie widać go na podwórzu, — matka stukała wiaderkami, mieszając w nich tłuczone ziemniaki z mąką — dla świń.

Piotr wziął kilka ziemniaków do miski, rozgniótł je, dolał z garnka, stojącego na polepie krupniku, trochę mleka — i wrócił do drewutni.

I teraz Żulik nie dawał znaku życia. Tylko kiedy Piotr zaszedł go od głowy i postawił mu pod nosem miskę, pies otworzył oczy, spojrzał na Piotra — ale tego ożywienia, tej radości, które objawiał zawsze przy spotkaniu, teraz nie okazywał. Nawet nie spojrzał na miskę, oczy mu się zamknęły. Wolno i ciężko oddychał i wtedy żebra sterczały pod skórą, jak sęki w płocie.

Piotr podniósł Żulika na nogi.

— Ano, wyjdziemy!

Nogi nie mogły utrzymać psa. Wisiał na rękach Piotra, jak na sznurach. Piotr opuścił ręce — pies osunął się na ziemię.

— Nie, bracie, tak to nic z tego nie będzie.

Piotr wziął psa pod pierś i powlókł na podwórze. Żulik i teraz był jak nieżywy. Jego chudy zad bezwolnie wlókł się po ziemi, zgarniając ze sobą słomę, drzazgi. Psem trzęsło.

— Aha, dawaj — dawaj, może do pościeli, ciągnij — niezłośliwie powiedziała do Piotra matka. Stała w zagrodzie, obok chlewa, wycierała mokre ręce o grzbiet prosiaka, który ciamciał nad korytem.

Piotr podciągnął Żulika pod płot i ułożył na ziemi.

— Niech poleży na słońcu, trochę się pogrzeje.

Pies leżał z zamkniętymi oczami. Prawda, leżał tam niedługo. Zaraz go tu odkryły kurczęta, powlazły mu na grzbiet, na łeb, a jedno starało się uporczywie wydziobać mu z pyska ziemniaczane okruchy. Choć pies był ledwie żywy, tak mu do dziobanie nadojadało, że klapnął zębami na natrętne kurczaki. Rozsypały się spłoszone na wszystkie strony. Tu, w kącie, między płotem a ścianą chaty, było zacisznie, duszno i pies spokojnie spał.

Wyszła na ganek Lilka — bose, czteroletnie dziewczątko w czerwonych majteczkach i błękitnej koszulce; białe jak papier, nie opalone ciałko; zmrużyła oczki, wznosząc główkę ku górze:

— Oj, jak dużo słońca!
Przetarła oczy, rozejrzała się wokół, zobaczyła Żulika, krzyknęła radośnie:
— Tato, pies! U nas na podwórku pies! Wezmę od babci chleba i przyniosę mu.
— Ty najpierw sama zjedz, a później będziesz karmić psa — wychyliła z otwartych drzwi głowę babcia. — Idź, wnuczko, zjedz śniadanie!
Ale dziewczynka była już obok psa. Żółte poduszeczki psich brwi ociężale uniosły się w górę, — spojrzał na dziewczynkę — i znów opuścił powieki. Z oka wytoczyła się i pociekła po sierści mętna kropla.
— Tato, on płacze! Widziałeś, on płacze! — Lila usiadła obok psa, zaczęła go głaskać po głowie, po grzbiecie.

— Chodź, córeczko, zjemy śniadanie i przyniesiemy mu chleba, czy kawałek ryby. On chory, jemu jest zimno. Przecież widzisz — drgawki chodzą mu po całym ciele. Niech mu się trochę polepszy, niech się nagrzeje. — Piotr wziął córeczkę za rękę i poszli do chaty, zostawiając Żulika samego. Znów oblazły go kurczęta.

Lila nie zagrzała miejsca w chacie, wybiegła na dwór z kawałkiem chleba i rybią głową w rączkach. Podsunęła Żulikowi pod nos. Powąchał i chleb i rybę, ale nie kwapił się do jedzenia. Znów wetknął łeb między łapy. Ileż razy otwierał oczy, żeby spojrzeć na Lilę, żeby choć tym odwdzięczyć się jej za opiekę. A ona jakby przyrosła do niego: głaskała po łbie, po grzbiecie, odganiała kurczęta...

— Zostaw, wnuczko, tego zdechlaka, niech go wilki zaduszą. Zobacz, jaki on owrzodziały. Upaćkasz się, obleziesz sierścią, — babcia nie traciła nadziei, że zniechęci wnuczkę do psa. Ale gdzież tam!

— Babciu, nie mów tak głośno, bo się Żulik obudzi. On boi się twojego głosu, patrz, wzdryga się, — wymawiała babci Lila.

— Żyć będzie twój Żulik po tym, — jak dorosłej poważnie odpowiedziała babcia Masza... — On głuchy, nic nie słyszy, a wzdryga się, bo pewnie już zdycha — Spojrzała na psa, potem na Piotra, uśmiechnęła się. — Dostaje mu się wszędzie, biedakowi, więcej niż komukolwiek. W zeszłym roku przywlókł się ze swego wesela, to myślałam, że już z nim koniec. Ktoś mu bok rozpruł i głowę rozbił. Ale żywy, nie było na niego mocnych. Poleżał na sianie, trochę poskamlał, zalizał rany — i znów poszedł. Mówią przecie, że się goi jak na psie. Odsuń się, wnuczko, nie mogę patrzeć, jak ty go głaszczesz. Zobacz, sierść wyłazi z niego, kłębami zwisa. Odejdź... Cóż ty milczysz, nie możesz jej nakazać, — zezłościła się na syna. — Znalazła zabawę przy zdychającym psie.

Piotr kiwnął głową, ale nic nie powiedział ani córce, ani matce. Poszedł do chaty.

* ★ *

Piotr kiedyś sam go przyniósł, grubiutkiego jak pęk wełny, szczeniaka na krótkich, a słabych łapkach, na których nie miał sił utrzymać swego słabego ciałka. Było to ze czternaście lat temu. Piotr chodził jeszcze do szkoły, bodaj do ósmej klasy. Był akurat u Iwana Knihi, pomagał zrzucać z traktorowej przyczepy drzewo. U Iwana przed trzema dniami oszczeniła się suka. Jak ślepe krety pełzały po niej małe, aż szóstka. Piotrow! wpadł w oko krótki, jasno rudy, całkiem bezradny psiaczek. Nie miał siły utrzymać się na łapkach. Piotr próbował podrażnić go, stuknął go ze dwa razy po nosku — odgryzł się, wczepił się w palce — jakaż to siła w zabkach! „A, bracie, z charakterkiem!" — pochwalił Piotr szczeniaka. „Bierz, jak ci się spodobał, cóż i tak trzeba je będzie..." — uśmiechnął się Iwan Kniha. Piotr wsadził szczeniaka do czapki i zaniósł do domu.

I tak został. Psiaczek był bardzo chytry, psotny, miał wesołe, żywe oczki. Psotuy... Jakimś ukrytym instynktem czuł, że jeśli przypadek darował mu kiedyś szczęście, ocalił mu życie, pozwolił biegać mu po ziemi, mieć swój głos i zęby — to o to szczęście trzeba walczyć zawsze i wszędzie — czym się da i jak się da.

Żulik był psem chytrym i rozumnym. Wcześnie zaczął dzielić ludzi na „swoich" i na „obcych" — na tych, którzy podobają się gospodarzowi, Piotrowi, i którzy nie podobają się. „Obcych" witał z groźnym i nieprzyjaznym „r-r-r". „swoich" witał przyjaźnie, grzecznie — tu można i ogonem pomerdać, głos nastroić na radosne powitanie „hau-hau-hau".

Rzecz jasna, nauka nie przychodziła tak łatwo. Niejeden raz Żulik odbiegał od ganku, kopnięty nogą przez samego Piotra. Ale każda nowa lekcja czyniła go mądrzejszym.

Różne rzeczy spotykał Żulik w swym życiu — i śmieszne i bolesne. Bez trudu, niczym do swej budy, wchodził do cudzego domu — łapa pociśnie klamkę, otworzy drzwi jedne, drugie, obali zasuwę w piecu — i jeśli na brzegu stoi jakiś garnek z jedzeniem — to już jego.

Pewnego razu Piotr sam był świadkiem, jak Żulik ukradł całą świńską głowę U tegoż samego Iwana Knihi. Mężczyźni zanieśli osmaloną tuszę do domu, a głowę ustawili na słupie, na śnieg, żeby krew ściekała i ostygła słonina. Żulik tylko czekał na ten moment. Chowając się za słupem, żeby z okien domu nikt go nie spostrzegł, podkradł się do głowy, stanął na tylnych łapach, ale jakoś nie mógł sięgnąć głowy. Piotr przyglądał się psim zabiegom i nie reagował, bo i jego ogarnął zapał myśliwski: co będzie dalej? A dalej było całkiem zwyczajnie. Początkowo Żulik próbował łapą zrzucić ze słupa głowę, ale głowa siedziała mocno. Wtedy zaczął tańczyć, podskakiwać, żeby sięgnąć zębami. Piotrowi nie zdarzyło się nigdy widzieć tak śmiesznego tańca... Może za dziesiątym razem Żulikowi się wreszcie powiodło: głowa spadła w śnieg. Tu już niczego nie „pokwapił" wpiął się zębami w ucho, powlókł za chlew, a stamtąd — w krzaki...

Raz trafił nieomal do wilków na obiad. Straszna była wtedy zima, mroźna, głodna, już przed Bożym Narodzeniem. Piotr chadzał wtedy do Nazara Cmihi, nie najlepszego myśliwego i blagiera. Siedzieli wieczorami i bajali. Bajki bajkami — a Nazar miał córkę, Aniutę, i to do niej chodził Piotr po prawdzie.

Każdego wieczoru w ślad za Piotrem podążał i Żulik. Czekał na Piotra pod łaźnią, która stała za działką w sosnowym lesie. Tu dopadły go wilki. Jakim cudem Żulik wyśliznął się im z kłów — a były aż cztery wilki — o tym wie tylko on sam. Przez szparę w płocie przedostał się na podwórko. Sienie nie były zamknięte i Żulik wleciał w nie, a tam — na dzieżę — z dzieży na piec — zima w sieniach nie mieszka się i w piecu się nie pali — i już tam, na piecu, dał upust swemu głosowi: zawył rozpaczliwie i żałośnie, tak że aż po ludziach przeszły ciarki. Wszyscy wyskoczyli do sieni, zapalono światło i w świetle ujrzano Żulika. Nawet i wtedy bał się zleźć z pieca.

Żulik przez szereg lat był pierwszy na psich weselach. Tu mu pomagała siła i potężne kły. Nie znał równego sobie, póki u Cmihi nie wyrósł pies gończy z rudawo ciemnymi ślepiami. Przez kilka lat ścinali się na śmierć i życie, zwyciężał to jeden, to drugi, aż wreszcie młodość wzięła górę — gończy odparł Żulika. Z tą nową, upokarzającą rolą Żulik długo nie mógł się pogodzić i na każdym „weselu" pokazywał zęby — ale nie była to już ta zawzięta, uparta walka z pierwszych lat rywalizacji, a raczej obrona honoru i dawnej sławy — bez krwi i wyrywania kłaków

Do tego doszła w ostatnich latach głuchota.

* ★ *

Piotr przelazł przez płot i skręcił drogą koło kanału. Zbliżała się pora obiadowa, było duszno i Piotr pomyślał o tym, że ciężko będzie żonie w autobusie, jeśli zechce dziś przyjechać.

Wysoko, w sinej duchocie nieba, zataczając kręgi, pływał jastrząb. Zdawało się, że na ziemi nic go nie interesuje — ot, tak, po prostu wyleciał pobawić się, sprawdzić prężność i siłę rozpostartych skrzydeł. Ale Piotr wiedział, że jastrząb będzie tak krążyć godzinę, drugą, spokojny i pewny słuszności, danej mu przez naturę, i że po upływie dłuższego, czy krótszego czasu, zdecyduje się los jakiejś żywej istoty — może biednej przepiórki, skowronka, czy nawet kury — ale Piotrowi nie chciało się iść po dubeltówkę, żeby wypłoszyć drapieżnika.

Przybiegła Lila, stała przed ojcem, złożywszy jak staruszka ręce na brzuchu: nauczyła się tego od babci Maszy:

— Tato, a Żulik już je chleb i staje na przednie łapy, — powiedziała i rozpromieniona spojrzała na ojca. Oczki jej aż płonęły od radosnego podniecenia.
— Dobrze, córeczko. Jeśli zaczął jeść chleb — będzie żyć.
Piotr przygarnął córeczkę do siebie.
— Ja mu raz przyniosłam chleb i on zjadł cały kawałek, a drugi raz już nie cały i kury go podziobały.
— Nic to, on jeszcze kurom pokaże, gdzie raki zimują.

— Aha, niech pokaże! — Córka pobiegła z powrotem na podwórko, wzbijając kurz leciutkimi nóżkami. Piotr poszedł do kanału. Szedł, szurając nogami po koniczynie. Usiadł na brzegu kanału, spuścił bose nogi do wody, płynącej po piaszczystym dnie. Woda chłodziła nogi, obmywała je — i wraz z jedwabistym łaskotaniem i z duszącym zapachem torfu, spłynęło na Piotra uczucie dobroci i spokoju. Od dawna już żył w mieście i za nic nie wróciłby na wieś, choć lubił tu przyjechać „odetchnąć świeżym powietrzem". Nie wróciłby tu na stałe, bo całe jego życie było tam, w mieście, i sam bez reszty był już tam, ale jakaś malutka jego cząstka została tu i bez niej nie mógłby żyć.

Piotr leżał, obróciwszy się na plecy, głową na miękkiej, trawiastej kępie. Nad nim srebrzystobiałe niebo, nogi w wodzie i myśli jego płynęły jak ta miękka, chłodna woda. Przez chwilę zdawało się Piotrowi, że słyszy jak powolnie płynie czas — spokojnie, cicho, odwiecznie... To było niezwykłe uczucie. Czuł się jednocześnie chłopczykiem, który z matką chodził na błota zbierać żurawiny. Zmęczeni siadali na miękkich kępach mchu i opuszczali nogi w rozłapanych łapciach do błotnego, zimnego strumyka, i z nimi był Żulik — całkiem jeszcze młody, wesoły, z żywymi, wiernymi ślepiami; jednocześnie czuł się ojcem — młodym i szczęśliwym z powodu posiadania tej żywej kuleczki — kuleczki — Lilki; i czuł się mężczyzną, który ma żonę kochaną i kochającą go. Jego rodzinna wioska, od której się już odzwyczaił, przestał lubić, a wciąż wmawia w siebie, że ją lubi — złości go, czymś drażni, może tym, że w niczym nie podobna do miasta, że niewygodny do niej dojazd. Trzy kilometry stąd, za laskiem, wyrasta biała piramida wieża ciśnień, a obok niej dwupiętrowe i parterowe ceglane domy — to tam przenoszą się co śmielsi mieszkańcy wioski.

Piotr wstał, poszedł na podwórze. Żulik spał. Teraz leżał w cieniu, pod bramą. Schował się przed słońcem. Przespał cały dzień. Ciężko, jakby w poczuciu winy, podnosił oczy na Piotra, gdy ten zatrzymał się przy nim. Piotr dwa razy karmił go. Pod wieczór Żulik podniósł się na nogi, stał, chwiejąc się, na trzech łapach, podkurczywszy przednią. Widocznie ktoś dobrze go ugodził. Nogi były jeszcze słabe, zad chwiał mu się na boki — i pies znów położył się. Leżąc obwąchiwał perz, małokrwistą, białozieloną łodyżkę lebiody, co przebijała się przez szczelinę z ogrodu na podwórze. Obwąchiwał długo, poruszając nozdrzami, jakby to wszystko widział po raz pierwszy w życiu. Wziął trawę na ząb, usiłował żuć, wypuścił zieloną ślinę...

* ★ *

Żulik nie przyszedł na noc do drewutni, został pod płotem. Następnego dnia zrobił już kilka kroków po podwórku, ale większą część dnia przeleżał, nabierając sił. Lila wciąż nie odchodziła od niego. Żulik pozwalał jej robić ze sobą wszystko co chciała.

Przy Żuliku zastała ją matka, która pod wieczór przyjechała autobusem. Zobaczyła — i przeraziła się. Boże mój? Co robi jej najukochańsze dziecko — bawi się z jakimś wyleniałym psem? Chwyciła ją na ręce, zaniosła do domu, długo myła ręce i twarz ciepłą wodą i mydłem. Gdy wrócił Piotr — a był w lesie — naskoczyła na niego: jak ty możesz dopuścić do tego, i ojcem się nazywasz... — i rozkręciła się na całego... Piotr na nią patrzył i uśmiechał się.

Znał żonę, znał jej nieprzytomną miłość do córeczki, jej chorobliwe obawy, żeby jej się co nie przydarzyło.

— Mamo, proszę tylko pomyśleć, przychodzę na podwórko, ojca nie ma, gdzieś się włóczy po lesie, a nasza Lileczka bawi się z tym psem. A on może ma jaką chorobę?
— A z kim ma się bawić? — rozzłościł się Piotr.
— Jak to z kim? Z dziećmi!
— Tu nie ma dzieci, Maryuko. Trzeba iść do tamtego osiedla, tam są. A tu sami starzy — nieoczekiwanie przyszła w sukurs Piotrowi matka.
— A jakaż choroba może być u psa? Żyje razem z nami i chodzi razem ze świniami, i je z nimi.

— Oj, mamo, co też mówicie. Niech się ojciec mniej wałęsa po lesie, a więcej zajmuje się dzieckiem. — Spojrzała w okno i zbladła: pod płotem leżał Żulik, a Lilka siedziała przy nim i wplatała mu wstążkę do ogona. Maryna jak strzała wyleciała na dwór, chwyciła córeczkę na ręce, kopnęła Żulika, i bijąc małą przyniosła do chaty.

— Tylko spójrzcie, co ona wyrabia! Przed chwilą ubrałam ją we wszystko czyste! Boże — ty mój, cała w sierści, cała w piachu, w zieleni. — Sama Maryna płakała, płakała Lila, wyrywając się mamie z rąk, krzyczał Piotr. W chacie zrobił się taki gwałt, że stara machnęła ręką i poszła do grzadek: niech się sami wykłócają, jak chcą, ona nie będzie się w to mieszać.

Nazajutrz, pod wieczór, Piotr odjeżdżał. Postanowił jechać pociągiem nocnym, żeby na rano zdążyć do pracy.

Wyszedł za wieś, obejrzał się: kilkadziesiąt metrów za nim, schyliwszy łeb ku ziemi, kuląc, szedł Żulik. Podniósł łeb dopiero wtedy, gdy od Piotra dzieliło go kilka metrów. Zatrzymał się, pomerdał ogonem, Piotr zawołał go, pogłaskał za uszami. Żulik dźwigał łeb do góry, starając się liznąć Piotra po policzku.

— No, a teraz marsz do domu!, — rozkazał Piotr. — Marsz do domu!

Żulik odskoczył w bok. Stał na trzech nogach, unosząc czwartą, przebitą, ku górze. Patrzył na Piotra, jakby nie rozumiejąc, czego on chce.

— Do domu! — jeszcze raz powtórzył Piotr i ruszył przed siebie, przyspieszając kroku. Obejrzał się jeszcze raz: Żulik stał na tym samym miejscu „Niech idzie z powrotem. Gdzie mu z przebitą nogą". — uspokajał się Piotr, jakby się przed kimś usprawiedliwiał Ale kiedy po półtora kilometrze drogi, pnąc się pod górę obejrzał się — ze dwadzieścia metrów z tyłu zobaczył Żulika. Pies krok za krokiem kuśtykał śladem Piotra. Zobaczył, że Piotr stoi — zatrzymał się, wysunął język. Piotr zawołał go. Żulik przekuśtykał ze dwadzieścia metrów, skręcił do kanału, zaczął chłeptać wodę, spoglądając na Piotra Piotr poszedł dalej. Żulik znów pokuśtykał za nim. Tak szli, jak uwiązani jeden do drugiego, nie zdzierając się. Wystarczyło Piotrowi przyspieszać, a już i Żulik zatrzymywał się Piotr szedł dalej. Za nim kuśtykał Żulik. Trzeba było przechodzić przez wieś, która ciągnęła się dwa kilometry po garbie niewysokiego, dość równego pagórka. Czas był przedwieczorny, słońce przed chwilą zaszło, na drodze było dużo ludzi — grupkami po pięć, sześć osób, czy pojedynczo, siedzieli na ławkach i spojrzeniami odprowadzali Piotra. Wioska leżała niedaleko od kolei i ludzie domyślali się, dokąd idzie ten człowiek...

Gdzieś w środku wsi, na drodze chłopcy kopali piłkę. Piotr ledwo przedostał się przez krzykliwy, rozbiegany tłum, pomyślał, że tu Żulikowi nie uda się przejść, że futboliści go nie przepuszczą „Niech idzie do domu", — uspokajał się. Istotnie, wkrótce usłyszał za sobą krzyki i hukanie. Z takim zapałem chłopcy mogli przeganiać tylko obcego psa... Niebawem krzyki ucichły. Piotr spokojnie szedł dalej. Szeroka wiejska droga przechodziła w grobłę, za którą zaczynało się dość ostre wzniesienie na nowy pagórek — a za nim zaczynał się las. Za tym lasem stacja. W połowie drogi do lasu Piotr usłyszał nagle psią szamotaninę, szczekanie Obejrzał się — w krzakach na grobli wrzała walka: słychać było charkanie, tłamsiły się cienie Charkanie ucichło i z krzaków wyskoczył Żulik. Ale dopędziły go w kilku susach dwa obce psy i cała trójka zbiwszy się w kłąb, potoczyła się po ziemi. Piotr rzucił się na pomoc Żulikowi. Psy tak się rozwścieczyły, że nie słyszały, jak podbiegł Piotr. Odrzucił noga jednego, drugiego, zaskowyczały i rzuciły się do ucieczki. Żulik leżał na ziemi i lizał pokąsany bok.

Dalej szli już razem, tak, jak przedtem, gdy Żulik był młody, a Piotr mieszkał jeszcze na wsi. Żulik wyprzedzał Piotra, zostawał, albo szedł z nim noga w nogę.

W lesie było ciemno i Piotrowi było raźniej słyszeć z przodu, z tyłu, z boku miarowy, suchy szelest i widzieć okrągły, szary cień...

Na stacji było niewielu ludzi, do odejścia pociągu — dwie godziny i Piotr wyszedł na dwór, do Żulika.

— A teraz idź do domu, — powiedział miękkim, łagodnym głosem. Pogładził go za uszami, po chudym grzbiecie, znów powtórzył:
— No, idź...
Podeszli do studzienki. Piotr puścił wodę, napił się sam, napoił Żulika z betonowego żłobka.
— No, marsz do domu, — już surowo rozkazał Piotr, popchnął psa do przodu i Żulik pobiegł.
Piotr wrócił na stację, położył się na ławce. Nawet nie zauważył, kiedy zasnął, zapominając o wszelkich troskach. Obudził się z uczuciem, że coś bardzo ciepłego, ogrzewa mu twarz, jakby skądś powiał ciepły wiatr. Potem ktoś delikatnie dotknął policzka, ust... Piotr otworzył oczy: między ławkami, pyskiem przy samej twarzy Piotra, stał Żulik. W słabym półmroku metnego światła, spływającego od sufitu z dwu żarówek w ogromnym, pięcioramiennym żyrandolu mokrymi kryształkami antracytu błyszczały jego ślepia. Drzwi do budynku stacyjnego były otwarte.

Piotrowi zaparło dech.

Wyszedł z psem na dwór. Było chłodno, wyroiły się gwiazdy. Piotr przeprowadził Żulika przez tory i jeszcze raz rozkazał:

— No, idź do domu, idź!

Teraz Żulik od razu pokuśtykał po ścieżce i wkrótce zginął w ciemnościach. Piotr wrócił na stację: czas już było kupić bilet.

* ★ *

Po kilku dniach dostał list od Maryny.

„Na wsi bardzo dobrze, w lesie dużo czarnych jagód, nawet pojawiły się borowiki, — pisała, prosiła, żeby i on przyjechał choćby na dzień — dwa. A pod koniec listu pisze o Żuliku: — Żulika naszego już nie ma. Wrócił wtedy ze stacji i przez kilka dni jakby całkiem ozdrowiał. Lila od niego nie odchodziła — i karmiła i poiła Ale potem jakoś rankiem, gdy mama poszła do roboty, wyruszył i on z podwórza. Poszedł i nie wrócił. Nie wrócił ani nazajutrz, ani później, najprawdopodobniej gdzieś zdechł I wiesz, zabrakło go, i mnie zrobiło się go szkoda. A już Lilka, to ze trzy dni nie mogła sobie znaleźć miejsca, i płacze, i woła go, i prosi, żeby wrócił: jej zdawało się, że Żulik odszedł od nas dlatego, żeśmy go skrzywdzili...".

Żulik został Żulikiem. Widać czuł bliską śmierć i, jak każdy dobry pies, zszedł z podwórka, żeby swoją śmiercią nie czynić kłopotu gospodarzom.

Pewnego mroźnego dnia szedł Piotr po mocno wyjeżdżonej przez samochody drodze do wsi. Od czasu do czasu zatrzymywał się, zaglądał za pazuchę. A tam, dobrze ogrzawszy się, wyciągnąwszy ostry nosek, siedział czarno biały szczeniak z wesołymi, żywymi ślepkami, Oddając go, gospodarze mówili, że to czystej krwi łajka. Piotrowi nade wszystko podobały się te chytre, mądre, rudawo żółte, jakby z bałtyckiego bursztynu, oczki.

Przełożył z białoruskiego
MACIEJ JÓZEF KONONOWICZ

LEONID I. BREŻNIEW

MAŁA ZIEMIA

Publikujemy następny fragment wspomnień Sekretarza Generalnego KC KPZR, przewodniczącego Prezydium Rady Najwyższej ZSRR, marszałka Związku Radzieckiego, LEONIDA ILJICZA BREŻNIEWA. Wspomnienia te dotyczą walk toczących się w Zatoce Cemesskiej na Morzu Czarnym w 1943 roku.

Przekładu dokonał Eugeniusz Iwanicki, według tekstu zamieszczonego na łamach „Litieraturnoj Gaziety".

5.

Przypuszczam, że czytelnik oczekuje ode mnie opowieści o pracy partyjno-politycznej, ale właśnie o niej od dawna opowiadam. Wytrwałość żołnierzy Małej Ziemi była wynikiem tej właśnie pracy, bowiem uporządkowany tryb życia przyczółka, troska o zachowanie sił i zdrowia żołnierzy, przysłanie na czas korpusu lotnictwa, a także wesołe żarty w chwili wytchnienia, bezgraniczna odwaga podczas ataków oraz to, że ludzie do końca pozostali ludźmi — wszystko to było wynikiem pracy partyjno-politycznej. Toteż nie sposób oddzielić jej od ogólnej opowieści. A nawet nie ma potrzeby.

Czym zmierzyć, jak ocenić działalność oficera politycznego na froncie? Strzelec wyborowy zlikwidował dziesiątki hitlerowców — cześć mu za to i chwała, kompania odparła atak, obroniła rubież — cześć i chwała dowódcy kompanii i jej żołnierzom. Dywizja przełamała obronę wroga, wyzwoliła miejscowość — nazwisko dowódcy wymieniono w rozkazie Naczelnego Dowództwa. Ale wielka jest także zasługa pracownika aparatu politycznego, który uzbrajał ideowo żołnierzy, umacniał w nich wielkie uczucie miłości ojczyzny, zaszczepił wiarę we własne siły, pobudzał do czynów.

Prawdziwy pracownik partyjno-polityczny w armii to taki człowiek, dokoła którego grupują się ludzie, a on dogłębnie zna ich nastroje i potrzeby, ich nadzieje i marzenia, który skłania do ofiar, do czynów. Uznając, że duch bojowy wojska zawsze był najważniejszym czynnikiem jego wytrwałości, właśnie pracownikom aparatu partyjno-politycznego powierzano w czasie wojny najbardziej silną broń. Hartował on serca i ducha żołnierzy, bez czego ani czołgi, ani armaty, ani samoloty, nie zapewniłyby nam zwycięstwa.

Tak było wszędzie, ale na szczególnie trudnych odcinkach wojny, takich jak Mała Ziemia, znaczenie tej pracy trudno przecenić. Czasami zdawało się żołnierzom, że są odcięci od Wielkiej Ziemi, toteż należało im uświadomić, że odcięci — nie znaczy odtrąceni, że oderwani — nie znaczy że zapomniani. Trzeba było dowieść, że wojna z faszyzmem trwa na wszystkich frontach, że ogromną pomoc okazuje nam cały kraj. Należało połączyć w jedno: odparty niedawno atak z ogromną bitwą, jaką toczy z wrogiem naród radziecki.

Zbędne były wielkie mowy, zresztą nie było sal do ich wygłaszania, ale była potrzebna szczera, męska, powiedziałbym — serdeczna rozmowa. Uczestniczyłem w większości zebrań partyjnych odbywających się w związkach taktycznych i jednostkach, a także często spotykałem się z żołnierzami bezpośrednio. Z reguły znajdowałem wspólny język z żołnierzami i marynarzami, choć nie stosowałem specjalnie żadnych chwytów. Czy rozmowa dotyczyła spraw poważnych czy też była ona żartobliwa, starałem się być bezpośredni, zrównoważony. Zawsze mówiłem prawdę, choć by była najbardziej gorzka. Chcę zaznaczyć, że pośród oficerów trafiali się i tacy, co to przybierali pozę rubasznego „brata-łaty". Żołnierze, oczywiście, od razu wyczuwają fałsz w takim udawanym „zapanbractwie". A wówczas nie można oczekiwać od nich szczerości.

Większość naszych szefów wydziałów politycznych, oficerów politycznych, organizatorów komsomolskich, agitatorów umiała znaleźć właściwe podejście. Cieszyli się autorytetem wśród żołnierzy, a przy tym ważne było to, iż ludzie byli przekonani, że w ciężkich chwilach ten, co wzywał ich do wytrwania, będzie razem z nimi, z nimi pozostanie, poprowadzi ich z bronią w ręku. Było regułą, że główną naszą bronią stało się żarliwe słowo partyjne, poparte czynem, osobistym przykładem w czasie walki. Oto, dlaczego pracownicy aparatu partyjno-politycznego stali się duszą radzieckich sił zbrojnych.

Oczywiście, brali oni udział w przygotowaniach operacji ofensywnych lub obronnych, bez nich nie odbywały się żadne opracowania planów działań bojowych. Nie pamiętam przypadku, by generał Leselidze lub inni dowódcy armii, z którymi przypadło mi wspólnie walczyć, nie wzięliby pod uwagę mojego punktu widzenia, lub proponowanych poprawek, czasami bardzo istotnych. Ale na wojnie rozkaz wydaje dowódca, jest to jego prerogatywa. I chociaż oficer polityczny także może wydawać rozkazy, to korzystać z tego — moim zdaniem — może jedynie w wyjątkowych wypadkach.

Przytoczę przykład: W czasie jednego z zebrań aktywu partyjnego, któremu przewodniczyłem, ludzie siedzieli obok siebie na ziemi. W trakcie wystąpienia, gdzieś poza mną, zupełnie blisko, wybuchł niemiecki pocisk. Wszyscy słyszeliśmy, jak nadlatywał. Rzecz zwyczajna, więc kontynuowałem swoje wystąpienie, lecz po dwóch minutach wybuchł drugi pocisk, tym razem przed nami. Nikt się nie ruszył, choć naród był ostrzelany, rozumiejący, że zostaliśmy wzięci w artyleryjskie „widły". Trzeci pocisk, jak mówią na froncie, był nasz. Wówczas rozkazałem:

— Wstać! Kierunek, dolina w lewo, trzysta metrów biegiem, marsz!

Zakończyliśmy zebranie w innym miejscu. Trzeci pocisk istotnie wybuchł na miejscu, gdzie przedtem siedzieliśmy. W milczeniu wracaliśmy potem z oficerem politycznym W. Tichomirowem.

— Nikt się nawet nie ruszył — powiedział. — To dopiero ludzie...

Także i ja myślałem o tym samym.

W podobnych, nadzwyczajnych wypadkach, czy to w bitwie czy w czasie ciszy, pracownik partyjno-polityczny ma prawo i obowiązek wydawać rozkazy. Natomiast z jego pracy codziennej rozkaz winien być wyeliminowany, winien posługiwać się wyjaśnieniami i przekonywaniem. Ale i ta praca powinna być prowadzona mądrze i taktownie. Jeśli nawet człowiek się pomyli, nikt nie ma prawa poniżać go krzykiem. Głęboko się brzydzę, choć jest to sprawa niepowszechna, ale gdzieniegdzie pokutująca, podnoszeniem głosu na ludzi. Żaden kierownik partyjny czy państwowy nie powinien zapomnieć, że jego podwładni, to podwładni jedynie na służbie, że służą oni nie dyrektorowi czy naczelnikowi, a sprawie partii i państwa. Pod tym względem wszyscy są równi. Ci, którzy dopuszczają się odstępstwa od tej niewzruszonej dla naszego ustroju zasady, kompromitują się i ostatecznie tracą swój autorytet. Każdy, kto popełnił wykroczenie, winien ponieść konsekwencje partyjne, administracyjne, w końcu sądowe czy jakiekolwiek inne, ale w żadnym wypadku nie wolno obrażać ludzi, poniżać ich godności. Takiego zdania jestem i dzisiaj, takiej zasadzie hołdowałem w latach wojny, w tym duchu starałem się wychować oficerów oddziału politycznego, którym kierowałem. Nie mogę przemilczeć, że był to zgrany kolektyw bojowy oficerów, którzy przeszli szkołę pracy partyjnej, dysponujących doświadczeniem i wiedzą, wyróżniających się inicjatywą i osobistym męstwem, ryzykujących życiem w trakcie walk tam, gdzie tego wymagała sytuacja. Nie wszyscy doczekali zwycięstwa, ale każdy z nich z honorem spełnił swój obowiązek.

Serdecznie wspominam tych ludzi. W czasie wojny wyrażałem im wiele pochwał, podpisywałem im wiele wniosków odznaczeniowych, natomiast nagany, jeśli dobrze pamiętam, nie udzieliłem ani razu. I nie dlatego, że byłem taki „miękki", przeciwnie — nie pobłażałem nikomu, nawet jeśli wypadło pracować całe doby. Po prostu wiedziałem, że mogę liczyć na każdego, oni natomiast nigdy mnie nie zawiedli. Lecz by czytelnik mógł wyobrazić sobie naszych ludzi, wymienię niektórych.

Jednym z moich zastępców, szefem wydziału propagandy i agitacji, był S. S. Pachomow. Spokojny w każdej sytuacji, na pierwszy rzut oka nawet powolny, stawał się samą energią, wykazując zdecydowanie, jeśli to było potrzebne do sprawy. Zawsze potrafił znaleźć właściwe słowo, które w danej chwili było tak potrzebne żołnierzowi. Dlatego też, częściej niż innych, angażowałem go do przygotowywania odezw Rady Wojennej, a także innych ważnych dokumentów.

Lektorem-propagandzistą był uroczy major A. A. Arzumanian, mający nie tylko szerokie horyzonty myślowe, ale także wielkie poczucie humoru, którego nigdy nie jest za wiele. Już wówczas można było zauważyć, że jest to człowiek niepospolity. Toteż nie zdziwiło mnie, a wręcz ucieszyło, kiedy po wojnie dowiedziałem się, że Arzumanian został członkiem Akademii, a potem również członkiem Prezydium Akademii Nauk ZSRR.

Dobrym propagandzistą, podobnie jak Arzumanian, był I. P. Szczerbak, będący jeszcze przed wojną kandydatem nauk historycznych. Głęboką wiedzę posiadał G. N. Jurkin. Na jego przykładzie można wyrobić sobie sąd o odwadze pracowników oddziału politycznego. Jeszcze w trakcie noworosyjskiej ofensywy, bezpośrednio na polu bitwy dowódca Floty Czarnomorskiej udekorował go Orderem Czerwonego Sztandaru. A skoro tak daleko wybiegłem naprzód, dodam, że udział wszystkich pracowników oddziału politycznego 18 Armii został bardzo wysoko oceniony.

Mieliśmy także swoją gazetkę armijną „Znamia Rodiny", która aktywnie reagowała na wszystkie wydarzenia związane z Małą Ziemią. Czekano na nią w okopach i transzejach, przekazywano z rąk do rąk. Niejeden raz miałem okazję uczestniczyć w posiedzeniach zespołu redakcyjnego, rozmawiać z redaktorem W. I. Wierchowskim, a także z innymi jego współpracownikami. Nauczyłem się cenić dziennikarzy, gdyż wiedziałem, że w czasie walk byli oni nieustannie z wojskiem, brali udział w desantach, w wypadach grup dywersyjnych, w chwytaniu „języków".

Członkowie redakcji oraz współpracownicy tworzyli silny zespół. Oprócz współpracowników etatowych, takich jak przyszły Bohater Związku Radzieckiego, korespondent „Prawdy", S. Borzenko, drukowali u nas swoje utwory pisarz: P. Garbatow i poeta P. Kogan.

Przyjeżdżali do nas, do armii, także inni znani pisarze.

Na zakończenie chcę powiedzieć także i o tym, jak ważne dla żołnierzy było celne słowo, wypowiedziane przez swojego domorosłego poetę, albo rysunek w skromnej ulotce bojowej. Bowiem to słowo, ten rysunek — były skierowane do nich bezpośrednio. Pamiętam, jak pewnego razu wracając z pierwszej linii, spostrzegłem dwie dziewczyny. Szły od strony morza. Jedna, niewysoka, zgrabnie ściągnięta pasem, była ruda jak płomień. Zasalutowały, a ja pojechałem. Przyrzekłem swemu pomocnikowi do spraw Komsomołu, że o piątej przyjmę ludzi mianowanych organizatorami komsomolskimi na miejsce poległych. I oto przychodzi ruda dziewczyna z rulonem papieru.

— Skąd jesteście? — pytam ją.

— Z batalionu marynarzy.

— Jak tam was traktują?

— Dobrze.

— Nie krzywdzą?

— Ależ skąd!

Okazało się, że dziewczyna rysuje. Rozwinęła swoje bojowe ulotki. Jak dziś pamiętam rysunek i podpis: „Cóż to, Wasia, drefisz?"

Dziewczyna ta, Maria Piedenko, na Małą Ziemię wprosiła się sama. Była w składzie desantu od pierwszych dni lądowania. Pod ogniem wynosiła rannych, a w czasie ciszy przebiegała od okopu do okopu z gazetami, kopertami, papierem, prowadziła rozmowy, recytowała wiersze. Znali ją i lubili wszyscy mieszkańcy Małej Ziemi, uważali ją za jednego z najlepszych agitatorów. Ręcznie pisana gazeta „Połundra" została przez nią wymyślona. Ona także wpadła na pomysł, aby wydawać ją w kilku egzemplarzach, a żołnierze zaczytywali te kartki doszczętnie. Chóralny śmiech zawsze był tam, gdzie gazetę czytano i oglądano.

Dużo później, gdyśmy zdobywali Noworosyjsk, Maria została ranna, lecz podleczywszy się, znów wróciła do oddziałów bojowych. Jej bohaterstwo zostało nagrodzone trzema orderami. Później poprosiła o przeniesienie do Kijowa, właśnie w czasie, kiedy trwały tam zacięte walki. Pewnego razu wpadł mi w oczy jej artykuł pt. „Miłość" (nie pamiętam — w „Prawdzie" czy w „Izwiestiach"). Można było pomyśleć że to jakaś sentymentalna historia. Okazało się, że nie, że chodzi o miłość do ojczyzny.

Dla ojczyzny Maria Piedenko nie szczędziła ani młodości, ani życia. W opublikowanym później pamiętniku tak pisała o Małej Ziemi: „Wyleziesz spod ziemi popatrzeć na świat i serce się raduje. Tak się chce żyć. A dookoła pola zorane okrutną machiną wojny. Wszędzie ruiny domów, plamy zrudziałej krwi na okaleczonej, pokiereszowanej ziemi. Nie zdążysz jednak nacieszyć się słońcem, a już słyszysz: „Lotnik!" Więc na powrót zapadasz w swojej norze, gdzie twarz pokrywa się wilgocią, gdzie w sadzach kopcących lamp, zrobionych z łusek po nabojach, z trudem rozpoznajesz swoich przyjaciół".

Podobnie, jak wielu innych bohaterów, Maria nie dożyła do naszych dni. Wspominając tego wspaniałego człowieka, myślę o wielu innych córkach naszej ojczyzny, dzielących z mężczyznami wszystkie trudy wojny. Dla mnie ich obraz stał się ucieleśnieniem wielkości kobiety radzieckiej.

cdn.

Foto: Archiwum

Foto: Archiwum

SAMO ŻYCIE

Od pewnego czasu serial wysunął się zdecydowanie na pierwszy plan w programie telewizyjnym. Stało się to stopniowo nie od razu, ale teraz stwierdzić możemy już z całą pewnością, że w ramach kultury masowej jest on formą szczególnie nośną, która przy spełnieniu pewnych podstawowych praw rządzących tym gatunkiem zyskuje powszechne uznanie.

Pojawił się w programie naszej telewizji w połowie lat sześćdziesiątych i po paru mniej udanych próbach odniósł dwa walne zwycięstwa. Każdy odgadnie, że mam na myśli serie Konrada Nałeckiego „Czterej pancerni i pies" oraz „Stawkę większą niż życie" Andrzeja Konica i Janusz Morgensterna.

Starsi pamiętają euforię, jaka ogarnęła wtedy kraj. Wystarczy wspomnieć choćby triumfalny przejazd czołgu „Rudy" całą długością ulicy Piotrkowskiej obstawionej gęsto tłumem entuzjastów serialu. Sam byłem w 1967 roku świadkiem, jak setki dzieciaków i roznamiętnionych panienek oblegały Janusza Gajosa przed hotelem „Intouristu" w Brześciu nad Bugiem, podsuwając mu do podpisu fotosy. W tym czasie „Czterech pancernych" zaczęła bowiem emitować z równym powodzeniem telewizja radziecka. Nie muszę dodawać, jak rekordową popularnością cieszył się wykonawca roli kapitana Klosa w „Stawce większej niż życie", Stanisław Mikulski.

Bohaterowie niemal baśniowych heroicznych ballad telewizyjnych w krótkim czasie zyskiwali sławę graniczącą z mitem, skutecznie zacierającą granicę między rzeczywistością i fikcją.

Aktor Janusz Kłosiński, sierżant Bielousow z „Czterech pancernych" zwierzał mi się kiedyś, że aplauz, z jakim wita się bohaterów serialu na spotkaniach z publicznością, trochę go żenuje. Widzowie wydają się zapominać, że mają do czynienia z aktorami i gotowi są przypisać im osobiście wszystkie bohaterskie wyczyny, jakich dokonują postacie serialu.

Innych reakcji doświadczył Emil Karewicz, który sugestywnie odtwarzał rolę nikczemnego gestapowca Brunnera w „Stawce". „Wszedłem pewnego razu do domu towarowego po rękawiczki" — wspominał w rozmowie ze mną. — „Ekspedientka obsłużyła mnie z wyraźnymi oporami, a od tłumu kupujących wiało w mym kierunku nieukrywaną niechęcią. Może w tak przewrotny sposób objawił się mój sukces aktorski, ale prywatnie było to dla mnie niemiłe".

I jeszcze jeden przykład, znacznie nowszy bo sprzed roku. Wykonawcy głównych ról w serialu „Daleko od szosy" Irena Szewczyk i Krzysztof Stroiński zasypywani byli listami, których nadawcy wzruszeni gehenną bezdomnej młodej pary spodziewającej się dziecka oferowali jej pokoje sublokatorskie. Na organizowanych spotkaniach mimo zapewnień z ich strony publiczność nie przyjmowała do wiadomości, że sympatyczni młodzi aktorzy w rzeczywistości nie są małżeństwem a jako parę skojarzył ich tylko reżyser Zbigniew Chmielewski, obsadzając ich w tych rolach w serialu.

Serial telewizyjny ma więc podwójne oddziaływanie: z jednej strony przysparza swoim protagonistom wielkiej popularności, z drugiej zaś identyfikuje w odbiorze społecznym aktora z fikcyjną postacią do tego stopnia, że w pewnym sensie odziera go z prywatnej osobowości. Gdy aktora Telly Savalasa okradziono w paryskim hotelu, przez prasę światową (w tym i polską) przepłynęła fala drwin ze słynnego detektywa porucznika Kojaka, że nie potrafił upilnować swojej własności i ująć sprawców.

Tak więc postać telewizyjna, zrodzona w wyobraźni scenarzysty i ukształtowana ostatecznie przez aktora zgodnie z intencjami reżysera, wykracza poza ramki szklanego ekranu i rozpoczyna swoją mityczną, pozaartystyczną egzystencję, stając się na jakiś czas drugą skórą aktora i ściągając na siebie sympatie względnie antypatie widzów. Zdarzają się nawet przypadki, że w trakcie emisji serialu publiczność zmienia swój stosunek emocjonalny do poszczególnych postaci, na przykład cofa im udzieloną początkowo aprobatę. Bywa też, że stosunkiem afirmującym obdarza się postać w sensie moralnym ambiwalentne lub dyskusyjne, jak to miało miejsce w przypadku Maliniaka i Kurasia.

Należałoby się zapytać, skąd bierze się owa dosłowność, wyrażająca się w często naiwnym identyfikowaniu postaci serialu z jej wykonawcą. Z podobną mistyfikacją nie stykaliśmy się w teatrze ani w kinie. Odpowiedź nasuwa się jedna. W programie telewizyjnym jako całości składniki kreatywne zmyślone ustępują co chwila miejsca autentycznym relacjom z życia — filmom dokumentarnym, reportażom, dyskusjom przed kamerami. Powstaje z tego rodzaj przekładańca, który widz wchłania w całości i w ciągłości, co nie sprzyja rozwarstwianiu za każdym razem na to co prawdziwe i co fikcyjne. Odpowiedni dobór tematyki seriali i ich obsady aktorskiej powoduje, że iluzję przyjmuje się chętnie za samo życie.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

MATYSIAKOWIE WYSZLI Z OPŁOTKÓW...

Animatorzy masowej wyobraźni idąc torami sprawdzonych już dawno wzorów kreują i kreować będą rodzinne sagi. Warto uważnie przyjrzeć się temu fenomenowi, nie dla rozplątywania ślimaczych ścieżek familii Palliserów czy Forsytów, lecz dla analizy rodzinnych na tym polu dokonań.

Nie licząc przedwojennej rodziny Kowalskich, śledzić mogliśmy w ostatnich dziesiątkach lat dzieje Matysiaków, Jabłońskich i teraz ich najmłodszych ziomków — Karwowskich.

Sądzę, iż czas najwyższy, by się pokusić o rodzaj komparatystycznego studium rodowodów naszych radiowych i telewizyjnych znajomych. Jasność wywodu i jego metodologia wymaga jednak przyjęcia dość zasadniczych ograniczeń. Gwoli ich właśnie proponuję, by zatrzymać się tylko przy analizie porównawczej rodziny Matysiaków i Karwowskich. Bowiem choć dzieli je społeczny status, obie reprezentują środowisko wielkomiejskie. A co nie jest także bez znaczenia ci pierwsi stali się swego czasu przedmiotem wnikliwych dociekań Krzysztofa Teodora Teoplitza, który w eseju pt. „Historia wielkości i upadku rodziny Matysiaków" dał nam obowiązującą do dziś tego fenomenu wykładnię.

Przyznać trzeba, że była to wykładnia nie szczędząca słów surowych i krytycznych. Już na samym wstępie czytamy — „... przymierzając bowiem kryteria natury artystycznej, musielibyśmy dojść do wniosku, że mamy do czynienia z utworem nieświetnym".

Czy trafnym byłoby odnieść tę opinię do opowieści o rodzinie Karwowskich? Lub sięgając dalej — jakie efekty przyniosłoby poddanie serialu pt. „Czterdziestolatek" kryterium artystycznej natury?

Wydanie sądu równie surowego, co pochodzący spod pióra KTT, wydaje mi się zbyt pochopne. Nie jest bowiem ów serial czystą, gdy idzie o gatunek, rodzinną sagą. Każdy odcinek tworzy wszak odrębną całość spleciona z innymi głównie tożsamością postaci. Z tych zaś zdecydowanie na czoło wysuwa się tytułowy bohater, co również nie leży w specyfice gatunku spod znaku Matysiaków czy Forsytów, gdzie w pierwszej linii fabuły stoją ramię w ramię bliżsi i dalsi krewni.

A jednak jeśli wyoperuje się z epickiej tkanki serialu o sympatycznym inżynierze narośla gagów i komediowych przerywek, uwidoczni się wyraźnie jak najbardziej realistyczny życiorys rodziny pnącej się po szczeblach społecznego i materialnego awansu. Rodziny, która tylko pozór imaginacji twórców wikła w odrealnione perypetie, w istocie zaś skupiającej typowe cechy swych realnych odpowiedniczek. Nie jest wszakże „Czterdziestolatek" tylko obrazem podpatrzonego życia, lecz niejako samym życiem dawkowanym nam każdej niemal niedzieli z telewizyjnego ekranu i dla usprawiedliwienia kronikarskich ambicji opakowanym w hałaśliwie szeleszczący papier groteski.

Co jednak nie stoi na przeszkodzie stwierdzić, że „Czterdziestolatek" jest całkiem udatną opowieścią dziejów współczesnej rodziny dostarczającej widzom zbawiennego katharsis beztroskiego śmiechu. Beztroskiego, bowiem tam, gdzie mogłaby się zacząć krytyczna refleksja, kończy się fabuła opowieści i rozmywają płynące z niej uogólnienia. Kreacja postaci nie buduje żadnej tamy, by się z nimi nie mogli identyfikować widzowie, nawet wówczas, gdy podświadomie czują, że zostali wykpieni.

Śmieszy i zarazem pobudza do refleksji, to co ze swej natury lub ze sposobu artystycznego ujęcia jest specyficznie wyjątkowe, odbiegające od standardu powszechnego uznania. Zaś serial nasz operuje ogólnie akceptowanymi receptami na śmieszność, z których niewiele poza samą śmiesznością wynika.

Czyżby więc nadal były aktualne słowa K.T. Toeplitza, że — „Miliony ludzi w całej Polsce doszły nagle do wniosku, że Matysiakowie żyją tak jak oni, a więc bez wielkich ewenementów, a także bez wyraźnie zaznaczonych celów, kultywując jedynie z tygodnia na tydzień elementarne troski o chleb, wychowanie dzieci, rozstrzyganie drobnych, rodzinnych konfliktów, sterowanie małej rodzinno-sąsiedzkiej nawy pomiędzy rafami codziennego życia i powszednich wydarzeń".

Karwowscy śmiało wyrwali się z matysiakowskich opłotków i mniej lub bardziej skutecznie poruszają się po hałaśliwych budowach, po urbanistycznych labiryntach nowych osiedli, po ruchliwych warszawskich ulicach. Matysiakowie szukali swego potwierdzenia w codziennej teraźniejszości podbudowanej solidną robotniczą tradycją Karwowscy zwróceni są ku nowym czasom i podążają w nie śmiało, nawet wtedy, gdy rozbijają sobie nosy o teatralną dekorację bezkresnego horyzontu możliwości.

A jednak jest to ruch pozorny, również gdy przedsiębierze go główny bohater „Czterdziestolatka". Widzimy go wprawdzie na placu budowy, w dyrektorskim gabinecie, w kuluarach ministerstwa, czyli w miejscach zwanych potocznie warsztatami pracy. A praca przecież przeobraża działania jednostki w celowy ruch społeczny określony rozwojem.

Inżynier Karwowski wkracza nader często w obszary produkcyjnej działalności wnosząc jednak ze sobą cały bagaż swych w gruncie rzeczy marginalnych wobec kondycji homo faber perypetii. Tak, iż każde firmowane przez niego, a doprowadzone do końca dzieło, zdaje się być raczej tworem zakulisowych sił, które tylko gwoli przypadku uosobiły się w postaci inżyniera.

Z tegoż powodu dystansuje go znacznie Józef Matysiak, o którym KKT pisał: „interesuje go dobra robota, elementarna uczciwość, rozumne załatwianie spraw bieżących". Oczywiście trudno tak proste kryteria ocen przykładać do człowieka na kierowniczym stanowisku, gdzie trzeba podejmować złożone decyzje, dokonywać dwuznacznych czasem wyborów. Tyle, że inżynier Karwowski nie podejmuje samoistnie ani decyzji, ani wyboru. One niejako rodzą się w tle jego rodzinno-osobistych problemów.

Oddajmy jednak sprawiedliwość tej postaci, jest bowiem zdolna do wątpienia. Czasem nawet wątpienie Karwowskiego rodzi uń ważkie pytania, lecz za sprawą twórców serialu uświadamiających sobie niemożność pogodzenia tytułowej persony dramatu z kartezjańskim zacięciem, odebrana została jej zdolność udzielania odpowiedzi.

By jednak widzowie nie poczuli niedosytu, powołana została do życia postać lekarza — przyjaciela naszego wątpiciela. Pan doktor głęboko zaangażowany z racji swego zawodu w sprawy śmierci i życia stoi niejako na uboczu tego, ostatniego. Reprezentuje typ człowieka refleksyjnego, wyrzekającego się w imię stoicyzmu rozbuchanych, doczesnych ambicji, spełniając tym samym w serialu rolę podobną do pana Klemensa, o którym już wielokrotnie cytowany KTT pisze: „... solenny bywalec domu Matysiaków, człowiek ze wszechmiar przyzwoity i dobroduszny, jest jednak w zestawieniu z Matysiakami figurą śmieszną przez swoją nieżyciowość...".

Również przyjaciel inżyniera wydaje się nieżyciowy w odniesieniu do zespołu cech, jakie dają się wykoncypować z rodzinnego życia Karwowskich. Owa nieżyciowość szczególnie dobitnie uwidacznia się wobec owe cechy uosabiającej postaci Karwowskiej.

Kobieta ta różni się od Matysiakowej wykonywaniem obowiązków zawodowych i okazywaniem żywego zainteresowania służbowymi problemami małżonka. A jednak dzieli zasadniczy rys wspólny z panią Heleną. Jest tak samo jak ona, że się znów odwołam do Krzysztofa Teodora, uosobieniem gorącego, matczynego serca. Tyle, że serce to już nie tylko utrzymuje stałą ciepłotę domowego ogniska, lecz każe mu płonąć coraz jaśniej, tak, by w pełnym świetle ukazały się zawodowe awanse męża, rozszerzający się krąg znajomości i nowe elementy wystroju mieszkania.

Ciąży nad postacią Karwowskiej nasz nieśmiertelny mit matki — Polki, choć wzbogacony o pewne artybuty tzw. kobiety współczesnej. Czasem nawet animatorzy serialu podsuwają nam zdrożną myśl, iż inżynierowa posiada wyraźnie zarysowaną płeć i że nie są jej obce płynące stąd konsekwencje np. adoracje ze strony szefa. Jednakże ten bez wątpienia interesujący i obiecujący wątek gmatwa się w nieudacznych zalotach adoratora i nie pozwala rzucić nawet najbledszego cienia na matczyno-żoniny status Karwowskiej.

Tyle o kilku głównych postaciach „Czterdziestolatka" choć i inne licznie w nim występujące warte byłyby może wnikliwego spojrzenia. Ale i bez niego można stwierdzić, że wszyscy tu, może tylko z wyjątkiem lekarza, ogarnięci są zapobiegliwą ruchliwością, przeniknięci wiarą w potrzebę działania, zmieniania, przekształcania swego otoczenia wszystko jedno czy jest to teren priorytetowej inwestycji, czy własne mieszkanie.

Ale nasi telewizyjni przyjaciele nie tworzą logicznej spójni pomiędzy kolektywnymi dokonaniami a własnym M-5. Działają wprawdzie na tych dwóch płaszczyznach demonstrując przy tym zachowania właściwe dla tzw. czterech ścian wśród huku pneumatycznych młotów i w ciszy dyrektorskich gabinetów. Do domu z pracy przynoszą co najwyżej prace zlecone lub napięty kwartalny bilans.

Już nie gnuśni i pozbawieni wyższych aspiracji jak Matysiakowie głosza Karwowscy przewagę ról męża, matki, członka rodziny nad swymi rolami zawodowymi, dając tym pełne prawo przypuszczać, że są Matysiakami wyrwanymi z cywilizacyjnych opłotków, że są ich wyższym stadium ewolucyjnym.

Kończąc swój esej KKT wyraził sąd słuszny i niepocieszający — „Matysiakowie długo jeszcze mieszkać będą zapewne w świecie naszej wyobraźni społecznej — zadowoleni z siebie, zasypiający snem sprawiedliwych, obojętni na bodźce prestiżu i niepokoje utopii".

Warto może osłabić minorowy ton powyższego — miejsce Matysiaków zajęli Karwowscy łakomi awansów, prestiżu, dostatku. Czy jednak nadal obojętni na niepokoje utopii, do nich jeszcze niedojrzali? O, nie, to właśnie przyspieszony proces dojrzewania nakazał im odłożyć utopie między bajki, którymi już nie karmi się nawet najmłodsze latorośla Karwowskich. Bowiem utopie mają to do siebie, że ich ot tak zwyczajnie mieć nie można.

Niech mi na zakończenie wybaczą Czytelnicy nieco może osobisty ton, chciałem jednak skorzystać z tego, iż jestem przy głosie i za podsunięcie tematu tegoż głosu podziękować Krzysztofowi Teodorowi Toeplitzowi. Podziękować, że był zarówno autorem eseju o Matysiakach, jak i współtwórcą scenariusza serialu o Karwowskich.

TOMASZ JAWORSKI

...A CO MY NA TO?

Telewizja Polska zakończyła już nadawanie ostatniej serii filmów z cyklu „Czterdziestolatek". Filmy te wzbudziły wiele dyskusji, różnie były odbierane przez telewidzów. W związku z tym — niezależnie od powyższej publikacji T. Jaworskiego, zwróciliśmy się do kilku naszych Czytelników z dwoma pytaniami:

— Czy podobały się filmy z ostatniej serii „Czterdziestolatka"?

— Jakie wzbudziły refleksje?

A oto odpowiedzi, jakie uzyskaliśmy:

BOGDAN SZEFER — inżynier, kierownik zmiany w ZPB „Eskimo", zakład „C":

— Z przyjemnością oglądałem „Czterdziestolatka" w pierwszej serii filmów. Te dwie pierwsze serie traktuję jako całość. Kiedy jednak przyszło mi oglądać część ostatnią, to przyznam się, że po kilku odcinkach poczułem się zmęczony. Dlaczego?

Powód pierwszy to przejaskrawienie. Wiem, że było to celem reżysera. W końcu Jerzy Gruza jest w swoim zawodzie fachowcem wysokiej klasy i wie, co robi i robi to dobrze. Może nawet za dobrze. Dlatego dla mnie te przejaskrawienia wydawały się nie do przyjęcia. Nie bawiły mnie.

Powód drugi to środowisko, którego nie znam. Dla mnie środowisko ludzi kierujących gospodarką, fabrykami, przedsiębiorstwami, środowisko dyrektorów jest obce. Powiedziałbym nawet — egzotyczne. Ja z ludźmi z tej „sfery" stykam się na płaszczyźnie służbowej. Nie wiem, ani jak żyją, ani jakie mają radości i smutki. I chętnie bym je poznał, podpatrzył nawet za pośrednictwem filmu. Zresztą był serial o dyrektorach, ale miał on inny charakter. Tu dyrektora pokazano w krzywym zwierciadle. Ale czy można śmiać się z czegoś, czego się nie zna? Można, tylko, że z tego śmiechu nic nie wynika.

BOLESŁAW MALINOWSKI — dyrektor ZPW im. 9 Maja w Łodzi:

— Mnie „Czterdziestolatek" podobał się. Były to filmy lekkie, komediowe, ale nie pozbawione satyrycznego spojrzenia na nasze wady i przywary. Jest to chyba krytyczne odniesienie do wytwarzającej się nowej obyczajowości, nie zawsze przecież prawidłowej.

Wiem, że niektóre filmy wywołały sporo dyskusji, polemik, kontrowersji. Na przykład ten odcinek, w którym Karwowski wraz z innymi dyrektorami wybrał się na polowanie. Dla mnie w tym nie było nic rażącego. Pokazano to tak, jak się w życiu zdarza. A że pokazano w filmie komediowym, satyrycznym trochę, to naturalnie, że przerysowano i przejaskrawiono.

Również i ostatni odcinek wzbudził pewne kontrowersje. Myślę, że chyba niepotrzebnie. W końcu bywa tak w życiu, że człowiek w tym zalataniu, w nawale obowiązków, próbuje być normalnym, takim jak inni, ale to nie zawsze wychodzi i to nie z jego winy, bo znajduje się wśród ludzi, którzy przyzwyczaili się zupełnie do czegoś innego i powstaje sytuacja wręcz komediowa.

TADEUSZ CHRUSTOWSKI — I sekretarz KZ PZPR w ZPDz. „Iwona":

— Mnie ostatnie odcinki „Czterdziestolatka" zupełnie się nie podobały. Przede wszystkim dlatego, że były nadmiernie przejaskrawione. Przecież jakby się zastanowić nad postacią Karwowskiego z tych ostatnich odcinków, to on tam wychodzi na kompletnego naiwniaka. Ale czy ma to jakieś uzasadnienie? Moim zdaniem nie. Karwowski jest człowiekiem wykształconym, skończył studia wyższe, awansował stopniowo, aż został dyrektorem przedsiębiorstwa. Obserwował przez ten czas innych i musiał się z pewnymi sprawami zaznajomić, otrzeć się przynajmniej o nie. A w filmie wychodzi za takiego, co to nic nie widział, o niczym nie słyszał, niczego się w życiu nie nauczył.

Wiem, że komedia ma swoje prawa i może posługiwać się przejaskrawieniami, ale chyba twórcy „Czterdziestolatka" w jego ostatniej wersji zbytnio przesadzili.

No weźmy taki przykład. Jedzie Karwowski za granicę. I jedzie z nim brat, czy kuzyn sąsiada z domu, gdzie Karwowski mieszka. Karwowski wychodzi w tej podróży na kompletnego idiotę, który nie potrafi nawet zliczyć do trzech, a ów kuzyn na wielkiego cwaniaka. Mówili o tym u nas na zebraniach robotnicy, że widz ma więcej sympatii do tego cwaniaka niż do niedorajdy i naiwniaka dyrektora. A to chyba coś nie tak.

Albo „Kobieta pracująca". Irena Kwiatkowska bardzo dobrze ją zagrała. Ja wiem, że to postać komediowa i że ona była potrzebna, aby w jednakowy sposób zamykać każdy z odcinków. Ale ta postać początkowo nawet śmieszna, pod koniec filmu robi się nieznośna, przemądrzała, która wszystko wie, wszystko umie, wszystkim zajmowała się. Trochę to wszystko było nieprawdziwe, sztuczne i dlatego zamiast śmieszyć denerwowało.

WŁODZIMIERZ ŁUSZCZYKIEWICZ — redaktor Rozgłośni Polskiego Radia w Łodzi:

— Mnie się ten ostatni „Czterdziestolatek" zdecydowanie nie podobał. W poprzednich częściach bohaterowie tych filmów byli normalnymi ludźmi. Ze swoimi przyzwyczajeniami, wadami i śmiesznostkami byli mi bliscy, rozumiałem ich i ich postępowanie.

W ostatniej części przesadzono w śmieszności. Z sympatycznych kiedyś ludzi zrobiono karykatury, postacie nieprawdziwe, nieżyciowe. Muszę powiedzieć, że kiedy obserwowałem jak po ekranie miotali się ci sztuczni ludzie, to budziło to we mnie już nie tylko zażenowanie, ale i niesmak.

RYSZARD KOSEL — kierownik księgarni „Współczesna":

— Nie, mnie się „Czterdziestolatek" nie podobał. A teraz, jakie wzbudził we mnie refleksje. Więc po pierwsze, jeśli mamy rzeczywiście takich niedorozwiniętych dyrektorów, to możemy sobie tylko pogratulować. Nic dobrego z tego nie wyniknie. Bo i jak może wyniknąć coś dobrego z działania ludzi, którzy ani w pracy, ani w domu nie potrafią podejmować właściwych decyzji.

Druga refleksja jest taka, że ten typ zabawy, jaki zaproponowali autorzy „Czterdziestolatka" mnie nie odpowiada. Dla mnie takie sprawy, jak kierowanie rodziną, przedsiębiorstwem, budową, są sprawami zbyt poważnymi, aby o nich dowcipkować w takiej konwencji. Była ona dla mnie niezbyt pasująca do tego rodzaju problemów.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI — literat, felietonista:

— Może nie odpowiem na pierwsze pytanie wprost. Spróbuję raczej podzielić się refleksjami. A z nich wyniknie i odpowiedź na to pytanie.

Co się mogło w tej ostatniej wersji „Czterdziestolatka" podobać? Mógł się podobać tak zwany mały realizm. A więc obserwacje obyczajowe, trafnie podpatrzone szczególiki w zachowaniu się różnych osób, niektóre powiedzenia, jakie zwykło się używać w żargonie urzędniczym, sposób urzędowania różnych osób na różnych stanowiskach, a także przeniesienie działalności urzędniczej z biura na inne sfery życia, na przykład towarzyskie, a więc polowanie, podróże zagraniczne, dyrektorskie spotkania na basenie i tak dalej. Ludzie takie zjawiska albo obserwują, albo o nich słyszą i to trafia w ich wyobrażenia o stylu życia urzędników wysokiego szczebla.

Co się jeszcze mogło podobać? Mogły się jeszcze podobać trafne obserwacje na temat stosunku nowoczesnych dzieci do rodziców. Przecież z tym spotyka się w jakimś tam stopniu każdy rodzic. Realizatorzy filmu pokazali bezczelność i cynizm młodego pokolenia w stosunku do rodziców. Pokazali również, że dla młodych ludzi nie ma autorytetu. Na przykład, kiedy Karwowski był w szpitalu jego dzieci wydawały już swoją mamusię ponownie za mąż, szukając dla siebie dobrego następnego tatusia.

Co mnie się nie podobało? Nie podobało mi się, że dowcipne spięcia, jakie pokazano w tym filmie nie były najwyższego lotu. Nie podobało mi się również i to, że bohaterowie ostatniej części „Czterdziestolatka" byli ludźmi głupimi. Inżynier Karwowski został przedstawiony jako człowiek niepoważny i naiwny, a jego żona Madzia — jako kompletna debilka. I to zadecydowało o moim stosunku do tej części serialu.

MIECZYSŁAW ARCHITEKT — dyrektor Fabryki Części do Maszyn Szyjących „Famas".

— Mnie się podobały wszystkie odcinki serialu „Czterdziestolatek". Poszczególne zdarzenia, jakie pokazano w ostatniej części tego serialu mają swoje miejsce w życiu. Tak czasem bywa, zarówno w sytuacjach rodzinnych, jak towarzyskich i zawodowych. Mnie nawet nie przeszkadzało to, że niekiedy te sytuacje były zbytnio przerysowane, bo to przecież była komedia o wyraźnych cechach satyrycznych. A satyra wiadomo, rządzi się swoimi prawami.

Ja bym wszakże w dyskusji o „Czterdziestolatku" nie zapominał, że ten serial miał znakomitą obsadę aktorską i był znakomicie zrobiony przez reżysera. O tym często się zapomina, zbytnio zwracając uwagę na prawdopodobieństwo sytuacji, na to, czy były one przerysowane, czy też odpowiadają wzorcom wziętym z życia. W tym serialu znakomite aktorstwo i dobra reżyseria ratowała niekiedy słabości serialu.

Sądzę, że twórcy „Czterdziestolatka" trochę przeliczyli się w swoich siłach. Przyznam, że z radością przyjąłem wiadomość że serial się skończył. Był już trochę za długi i chyba z tego powodu nieco nużący.

BOGDA MADEJ

STARSZY PAN I JEGO GORYL

Zbigniew S. Nowak

To było jeszcze w ubiegłym roku, mniej więcej w końcu października. Siedzieliśmy całą paczką w „Teince", zupełnie przypadkowo akurat w tym lokalu, ponieważ inne pobliskie były tak zatłoczone, że ani marzyć o wolnym stoliku. Pogoda była, jak to się mówi butelkowa. Lało niemiłosiernie, z małymi tylko przerwami, stąd chyba to wieczorne przepełnienie w kawiarniach. Jedynie w „Teince" było jeszcze trochę miejsca — może dlatego, że tam nie podaje się tego czarnoludowego napoju, kawy mianowicie, tylko różne przedziwne gatunki burżuazyjnej „tea", po cenach także burżuazyjnych.

Siedzieliśmy więc przy cierpkim „five-o'clocku", z minami jak smak owego napitku, marząc o małej czarnej, a może też i o apetycznych blondynkach, których kilka kusiło nie tylko oczy, z drugiego końca długiej sali. Jak pamiętam, rozmawialiśmy o niczym, jak to zwykle przy takich okazjach bywa, nawet nie o tzw. polityce ani „kto z kim i za ile". Ot, stereotyp, zwykła nuda.

Właśnie z nudów rozglądałem się po sali, bez specjalnej ciekawości nawet, po prostu dla zajęcia czymkolwiek oczu. Uszy wyłączyłem zupełnie, nie mając najmniejszej ochoty przysłuchiwać się bzdurnej dyskusji o czymś tam przy naszym stoliku. Kiedy tak pociągałem wzrokiem wkoło moją uwagę zwróciła nagle osobliwie dobrana para, siedząca pod oknem.

Dziewczynę znałem z widzenia. Była to Gośka, najbardziej „klasowa sztuka", jaka wtedy kręciła się w „Teince" i okolicy, jeszcze nie obstawiona przez żadnego tam „narzeczonego". Trochę to było nawet dziwne, nawiasem mówiąc, że taka „eksportowa" chodziła luzem, bez opiekuna i zupełnie na własny rachunek. Cóż, czasy się zmieniają, coraz więcej w zawodzie zwykłych amatorek. Jeszcze dziwniejsze było jednak to, w jakim towarzystwie Gośka sączyła herbatkę i coś mocniejszego. Może „towarzystwo" to niezbyt dokładne określenie, był to bowiem jeden tylko niebywale stary, zasuszony, niesamowicie pomarszczony łysol. Musiał być nielicho nadziany, jeśli Gośka przystała na jego właśnie towarzystwo i prawdopodobnie na „ciąg dalszy". Nawet zachowywała się jakoś nietypowo, daleko wykraczając w gestach i uśmiechach poza lalkowaty szablon, obowiązujący zwykle wobec klienta. Śmiała się głośno i perliście, wysłuchując opowiadanych najwidoczniej przez starego dowcipów, paplała coś w rozbawieniu, nawet obdarzyła starucha przelotnym całusem. Brrr, coś takiego.

Nagle jej rozkoszniutki humor prysnął, zgasł uśmiech, zmatowiała twarz, ku zdumieniu łysola. Po chwili dopiero zorientowałem się, co się stało. W drzwiach stał Wowo. A Wowo to nie byle szczeniak czy amator, ale stary, dobrze znany w kompanii cwaniak, szef pięknej „stajni" eksportowych wdzięków.

Wowo od dłuższego już czasu usiłował zatrudnić Gośkę u siebie, bez powodzenia jednak. Póki co, dziewczyna odgrywała cwaniarę, która ani myśli dzielić się zarobkami z jakimś tam „opiekunem". Wowo w odwet płoszył jej klientów, w najbardziej bezczelny sposób. Jeśli gdziekolwiek spotkał ją z gościem, „interweniował" udając zazdrosnego narzeczonego. Nie musiał nawet zbytnio się wysilać przy odgrywaniu „scen". Bardzo wysoki, potężnie zbudowany, tak na oko ze sto dwadzieścia kilo żywej wagi samym wyglądem budził strach u amatorów niezaprzeczalnych powabów Gośki. Odklejali się od niej wszyscy bez wyjątku, grzecznie przy tym piszcząc rachunki za to, co Gośka zdążyła „skonsumować". Gdyby nawet trafił się gość wyjątkowo uparty, szybko zajmowali się nim „pomocnicy", których Wowo zawsze trzymał w pobliżu. Nie to, żeby Wowo bał się kogokolwiek specjalnie — po prostu nie lubił sam „brudzić sobie rąk", nie chciał też robić zbyt wiele szumu wokół swojej osoby, ani tym bardziej narażać się na kłopoty, jakie mogłaby pociągnąć za sobą jakaś publiczna awantura. Pewien uparty „glina" od dawna czekał takiej na przykład okazji, by jakoś dobrać się do skóry cwanemu alfonsowi, którego trudno było, jak dotąd, za cokolwiek „przykaraulić". Wowo nie chciał więc się narażać, bo to mogłoby mocno zaszkodzić jego interesom. Wiadomo, jak się wyleci z obiegu, choćby na krótko to potem cholernie trudno „odgrzać" swoje miejsce. Wowo był więc tu bardzo ostrożny.

Z napięciem czekałem, jak też zostanie odegrana kolejna „scena zazdrości". Póki co, Wowo stał w drzwiach z marsowym obliczem i „straszył na spokojnie". Gośka, cała sztywna, poszeptała staremu coś do ucha, mając najwidoczniej zamiar przerwać „tete a tete". Staruch wysłuchał jej w milczeniu, poklepał po ręce. Spokojnie, spokojnie! — poruszyły się jego przewiędłe wargi. Potem popatrzył na Wowa, długo, przeciągle. Obejrzał go dokładnie, niby jakiś szczególny egzemplarz zoologiczny. Na koniec uśmiechnął się ironicznie, odwrócił ku dziewczynie, strzepnął popiół z koniuszka papierosa. Gnojek! Słowo to tak dziwnie zabrzmiało w ustach starego, że Gośka osłupiała. Gość był wyraźnie nietypowy, uświadomiła to sobie natychmiast.

Tej świadomości nie posiadł najwidoczniej Wowo. Ruszył w stronę stolika ciężkim, rozkołysanym krokiem, stanął blisko, zawisł zwaliście nad starym. Nie zdążył jednak nawet otworzyć ust, gdy tamten warknął:

— Zjeżdżaj stąd, gnoju!

Sala zamarła w zdumieniu i niemym zachwycie. Wowo zsiniał, zatkany zupełnie tak nieoczekiwanym potraktowaniem. Tylko stary nie stracił rezonu.

— Płacić!

Kelnerka jak automat przyjęła pięćsetkę, nie myśląc o wydaniu reszty; zdaje się, że przez chwilę w ogóle przestała myśleć. Gośka patrzyła na to wszystko szklanym wzrokiem, zastygła jak eksponat z gabinetu figur woskowych. Stary ujął ją za łokieć, podniósł z krzesła.

— Idziemy!

Przeszli do szatni, gdzie stary odebrał płaszcz swój i Gośki. Ruszyli do wyjścia. Ale tam stało już dwóch ludzi Wowa. Doskoczył też on sam. Wszyscy świadkowie zajścia zdrętwieli.

Nie, nie wszyscy! Od stolika przy wyjściu poderwał się jak sprężyna siedzący dotąd spokojnie mężczyzna. To, co stało się później, ogląda się chyba tylko na amerykańskich filmach o gangsterach. Nieznajomy w mgnieniu oka załatwił ludzi Wowa, nie wiadomo jak, w każdym razie padli na miejscu, jakby porażeni wysokim napięciem. Potem chwycił Wowa za kark, aż zatrzeszczała marynarka. Ten próbował się wyrwać ale gdzie tam. Nieznajomy górował nad nim wzrostem i wagą, a chwyt musiał mieć nie byle jaki, bo Wowo poszarzał na twarzy i cały jakoś dziwnie sflaczał. Mężczyzna wysyczał dobitnym szeptem:

— Odchrzań się od dziewczyny i to raz na zawsze, jak chcesz pożyć jeszcze trochę w spokoju! Ja tu jeszcze wrócę, zawsze kiedy będzie trzeba.

Puścił Wowa, a ten opadł na podłogę jak pusty worek. W międzyczasie, nie wiadomo kiedy, stary i Gośka zdążyli wyjść. Nieznajomy pogromca popatrzył na zmiętą kupkę strachu w kącie, to znaczy na Wowa i także wyszedł; z ukosa zdążyłem tylko zauważyć twardy obrys szczęki, jakoś dziwnie znajomy. I jeszcze ten szczególny gest — strzepnięcie palcami, jakby otrząsał rękę z wody.

Wyraźnie słyszalny w tępej ciszy głos silnika obudził nagle wszystkich. Wybiegliśmy na ulicę. Ciemnowiśniowy „Mirafiori" oddalał się prędko...

„AMERYKAN"

To było kilkanaście lat temu. Jak zwykle we wtorek poszedłem na trening. „Jak zwykle" to może lekka przesada, bo trenowałem dopiero od miesiąca. W „trumnie", to znaczy w naszej sali było piekielnie zimno, ale też z zapałem robiłem wszystkie ćwiczenia, jakie zaaplikował nam trener, popularny Mucha. Akurat atakowałem ciężki, skórzany worek, podwieszony u sufitu na długiej linie. Ten grubo wypchany bydlak wyraźnie drwił sobie z moich wysiłków. Pomimo całej serii gwałtownych ciosów ledwie tylko się kołysał, połyskując kpiąco moim własnym, ciężko wytoczonym potem. Rozwścieczony do ostatka rąbnąłem prostym, jak uczył Mucha, wkładając w uderzenie całą sprężystą siłę nóg, grzbietu i ramienia. Worek stęknął głucho, ale był to cały i jedyny efekt mojego ataku.

— Nie tak, stary, bo się tylko zarapiesz i nic więcej — ktoś dotknął mojego ramienia.

Odwróciłem się gwałtownie, upokorzony tą jak najbardziej słuszną uwagą. To był Wojtek, nasz „ciężki". Kadrowiec, najlepszy wtedy zawodnik klubu. Na ringach krajowych niewielu miał przeciwników. Był nawet poważnie brany pod uwagę przy ustalaniu reprezentacji na olimpiadę. Nie miał jednak szczęścia u działaczy. Podobno jego morale było w znacznie gorszym stanie niż jego forma, poza tym ponoć jego intelekt i umiejętności techniczne ani trochę nie dorównywały sile ciosu. Przez to odpadał w przedbiegach. To go mocno podcięło, ale i dodało sił, jakiejś cholernie twardej woli zwycięstwa. Przy pierwszej okazji sprał olimpijczyka „na mokry galgan", jak to się mówiło. Właściwie nie znokautował przeciwnika, chociaż mógł, ale rozbił go tak, że ten długo nie był w stanie reprezentować nie tylko barw krajowych, ale nawet i klubowych. Podobnie kończyli kolejni przeciwnicy Wojtka. Nasz „ciężki" popadł w jakiś dziwny amok. Koniecznie chciał pokazać wszystkim, że jest najlepszy, że ma nie tylko „kopa", ale i głowę. Chciał udowodnić „tym skurwysyńskim" działaczom, że to właśnie jemu należy się koszulka z białym orłem. Prawie ubóstwialiśmy go za ten charakter, zwłaszcza my początkujący. To był mistrz!

Pamiętam, że gdy wtedy stanął przy mnie, z wrażenia zesztywniałem. Stałem jak sklepowy manekin, coś tam jąkając pod nosem. Wojtek odsunął mnie na bok, podszedł do worka.

— Popatrz!

Worek zaczął fruwać, gnąc się jakby w konwulsjach; napięta lina grała jak gruba struna, aż pojękiwało powietrze.

— Widzisz, tak to się robi. Z takiego młyna nikt nie wyjdzie przytomny.

Musiałem mieć mocno niewyraźną minę, bo poklepał mnie pocieszająco po plecach.

— Nie frasuj się stary, kiedyś i ty do tego dojdziesz. A teraz coś ci pokażę.

Kiedy Wojtek stanął przed workiem na lekko ugiętych nogach, wkoło momentalnie zebrała się grupka trenujących. Zostawili wszystko, żeby to zobaczyć. Co, tego nie wiedziałem. Nie miałem jeszcze okazji widzieć popisowego numeru Wojtka, który wszystkich tym worawiał w zachwyt, oprócz trenera i gospodarza sali.

To było... nie, nie jak „uderzenie pioruna". Oko nie było w stanie uchwycić tego ruchu. Tylko nieznaczne drgnięcie barku, niezauważalny wyrzut ramienia, huk. Worek poleciał przez salę, osiemdziesiąt kilo zawirowało w powietrzu. Odsunąłem się przezornie w bok, by powracający na linie ciężar nie zmiótł mnie przypadkiem. Niepotrzebnie. Worek nie wrócił, padł ciężko na parkiet, potoczył się pod ścianę. Zgłupiałem na moment. Co jest?! Dopiero po chwili dojrzałem kołyszący się pod sufitem koniec zerwanej liny.

To był właśnie „amerykan"! Skąd ta nazwa, nie wiem. Takiego numeru nie widziałem nigdy więcej. Nie było boksera, który by go powtórzył. To mógł tylko Wojtek. Najdziwniejsze jest to, że z tego wszystkiego wtedy najbardziej zapamiętałem ten szczególny gest po uderzeniu — strzepnięcie, jakby otrząsał rękę z wody.

Potem Wojtek przestał przychodzić na treningi. Przeniósł się do innego klubu. Kilkakrotnie jeszcze zmieniał barwy klubowe, szukając swojego szczęścia — drogi do reprezentacji. Próżno jednak. Może miał pecha, a może komuś nie podobał się ten jego upór, ta „chamska" zawziętość. Po wielu daremnych próbach „przeskoczenia" tzw. zielonego stolika wycofał się z boksu. Definitywnie i na zawsze.

Dziś mało kto wie, co to znaczy „amerykan".

SPOTKANIE

To było parę dni temu. Przechodziłem akurat obok hotelu „Centrum", na skos przez parking samochodowy, by skrócić sobie drogę. Wtedy nagle przed hotel zajechał ciemnowiśniowy „Mirafiori". Przystanąłem. Z samochodu wychyniła znajoma sylwetka. Mężczyzna zatrzasnął drzwiczki, przekręcił kluczyk. Potem odwrócił się, ruszył w stronę hotelowego hallu. Po drodze dziwnie jakoś poruszył ręką, zupełnie jakby otrząsał ją z wody.

— Wojtek!

Mężczyzna zatrzymał się.

— Wojtek!

Powoli odkręcił się na palcach, lekko, sprężycie.

— Cześć, stary!

Spojrzał na mnie z wysoka, mrużąc oczy.

— Przepraszam, nie znam pana, nie pamiętam...

— A pamiętasz „amerykana"? To był chyba twój ostatni trening w...

Długa chwila zastanowienia, wreszcie szelmowski lekki uśmiech. Wyciągnął ręce.

— Jasne! Tylko coś ty zrobił z tą swoją gębą? Przez to cię nie poznałem.

Odruchowo zacząłem obmacywać twarz. Szeleszczący pod palcami zarost uświadomił mi, że sporo czasu minęło od tamtego spotkania na treningu. Wtedy byłem gładko ogolony: bokser nie może nosić brody.

— Co ty tu porabiasz? I w ogóle gdzie się teraz podziewasz... — zasypałem go pytaniami.

— Przepraszam cię, stary ale w tej chwili bardzo się spieszę. Jeśli masz trochę czasu jutro przed południem to możemy gdzieś się spotkać, pogadać dłużej. Może w „Kaskadzie"?

„GORYL"

— Bo widzisz, koncepcja była zła. Za długo trzymaliśmy się tej naszej szkoły. No i położył nas wreszcie ten nasz sławny lewy prosty. Inni poszli dalej, aż nam dosolili. Nasz żga tym swoim lewym prostym i w zamian dostaje taką bombę, że kuca. Za długo trzymaliśmy się tej naszej szkółki, za długo rządził ten jeden facet. Inni się nie liczyli, nie mogli mieć własnego zdania. A byli dobrzy. Pojechali od nas na przykład na Kubę, tam robić boks. I co? Teraz Kubańczycy leją wszystkich. A my dalej z tym naszym lewym prostym dostajemy po mordzie. To nie wina chłopaków, oni trenują uczciwie, ryją, tyle że nie to co trzeba. Mówię ci, talentów to my mamy dosyć, tylko nie ma atmosfery, fachowych trenerów. A jak się jaki znajdzie, to go zaraz upupią...

Zagadaliśmy się tak, że nawet nie zdążyłem go wypytać, co aktualnie porabia, jak mu się powodzi? Dopiero gdy wychodziliśmy z kawiarni, zapytałem go o to.

— Cóż, jak wiesz, na ringu nie zrobiłem kariery. Nie wyszło. A moje prywatne życie? Mam dom, żonę, dzieci. Zwyczajnie. Jakoś żyję.

— Skończyłeś to swoje technikum? Gdzie pracujesz?

— To długa historia. Kiedy byłem prawie na dnie, poznałem jednego faceta. Przypadkiem. Kiedyś przylatywałem jego prywatnego „goryla" który podskoczył nie w porę. Wtedy ten gość zaproponował mi robotę u siebie, za kierowcę. Nie miałem prawa jazdy, ale facet wziął się za mnie ostro, z charakterem. Ja to rozumiałem, jemu był potrzebny mocny człowiek. Stary, ja przez niego to nawet tę szkołę wreszcie skończyłem! Skubaniec latał za mną do budy, jak za jakim szczeniakiem, pilnował. Dużo mi pomógł. Obcy, a jak własny ojciec...

Głos mu się załamał na chwilę, oczy uciekły w bok. Rozumiałem to. Wojtek tak naprawdę nigdy nie miał ojca. Wychował się w domu dziecka.

— Mówię ci, to jest gość! Chemik z wykształcenia. Kiedyś pracował na politechnice, ale go zaszczuli. Teraz ma własny interes, plastyk. Poza tym coś tam jeszcze.

— Czy to ten stary, z którym narozrabialiście w „Teince"? Tak gdzieś na jesieni...

— Widziałeś? — westchnął ciężko.

— Tak, to ten sam. Nie taki jeszcze stary, tylko że rak go zżera. Ludzie przestali go gryźć, to choroba zaczęła. Niedługo chyba u niego popracuję. Potem pójdę na taryfę. Samochód już mam, jak należy. Nie zginę.

— Ale on to chyba twardy gość? W takim stanie na dziewczynki...

— A co ma robić, może się umartwiać? Nie warto, lepiej użyć życia, bo niedużo mu już zostało. A że twardy, to fakt. Ludzie wiedzą, że Docent jest twardziel. Zawsze taki był, od kiedy go wygryźli z uczelni.

— Docent?

— Tak go nazywają. Miał dostać docenta, ale nie zdążył. Ale to nic. Dla mnie i tak jest gość. Tylko ta cholerna choroba...

— Szkoda człowieka...

— Szkoda. Ja nie jestem mięczak, ale niedobrze mi się robi, jak sobie pomyślę... — znów odwraca głowę. — Dla mnie to przecież prawie jak ojciec, rozumiesz mnie, stary? Ja nigdy nie miałem ojca ani matki, wiesz przecież. Dlatego życie dawało mi po dupie, dlatego wziąłem się za ten cholerny boks, bo mi się zdawało, że piąchami zawojuję świat. Nie wyszło, bo nie mogło wyjść. Nie miałem żadnego oparcia, nikogo, żeby czasem zwyczajnie pogadać jak ze swoim. Podłamałem się nerwowo, bo nie miał mnie kto podeprzeć. Aż wpadłem w gnój, dopiero on mnie z tego wyciągnął. Ludzki człowiek, chociaż cwaniak. Jednego tylko takiego spotkałem. On mi pomógł, to ja robię dla niego wszystko, jak dla ojca. Widzisz mnie w „Teince". Daję ci słowo że to nie dla forsy, chociaż mi za to płaci, jak za szoferkę. Ale to nie dla forsy! Tak samo bym bronił własnego ojca, gdybym go miał. A on dla mnie jak ojciec, chociaż ja dla niego nie syn. Chociaż nie syn, tylko zwykły... — machnął ręką — tylko zwykły „goryl".

MIT DETEKTYWA

Anglicy mogą bez końca mówić o pogodzie. Nawet wypada mówić codziennie o tym czy pada, czy się przejaśnia, czy to jeszcze i owo. Człowiek, który nie mówi o pogodzie uważany jest na zielonych wyspach brytyjskich za gbura i nieokrzesanego prostaka. Amerykanie mogą bez końca mówić o seksie, gwałtach, skandalach i napadach rabunkowych. Co do pogody, to wszyscy na ogół narzekają. Coś się psuje w tym interesie. Zima nie ta, co kiedyś, lato nie takie, jak to przedwojenne, kiedy to przez cały lipiec grzało jak z hutniczego pieca i słoneczna pogoda była nad morzem murowana. Co do gwałtów, skandali i zbrodni, to pewne mity zostały rozwiane. Dokonał tego ostatnio nowojorski inspektor Patrick Murphy. Jak już samo imię wskazuje, jest to Irlandczyk z pochodzenia. To jasne. Hollywood jest po tamtej stronie oceanu w rękach Żydów, mafia w rękach Włochów, polityka w rękach Anglosasów, a policja jest w amerykańskich miastach w rękach Irlandczyków. Murphy wywinął niezłego kozla.

Opublikował co dopiero książkę, która z punktu narobiła wiele hałasu. Dzieło nosi zawiły dość tytuł „A View From the Top of American Law Euforcement". Co w dowolnym nieco tłumaczeniu znaczy — „Wejrzenie ze szczytu policyjnej władzy". Ze szczytu dlatego, że z czasem inspektor Murphy awansował. W ostatnich latach swej policyjnej kariery był komisarzem policji w Detroit i Waszyngtonie. Anglicy lubują się w paplaninie o pogodzie. Mają już to skrzywienie. Złośliwi twierdzą, że to katastrofa hiszpańskiej armady w 1588 roku tak ich wyczuliła na wszystko co się dzieje w aurze. Ostatecznie to bóg wiatrów wzburzył morze i potopił inwazyjną armadę. Pogoda jest ważna, powiada się od tego czasu w Londynie, kto wie czy nie najważniejsza. Przypuśćmy, ale dlaczego Francuzi tyle nie mówią o pogodzie? Przecież mieliby po temu też swoje racje. Czy to nie bóg śniegu i mrozów wytępił napoleońską armadę na rosyjskich bezkresach? Czy to nie bóg deszczów tak pokrzyżował Napoleonowi szyki pod Waterloo, że bóg wojny całkiem się zatracił, pogubił i nie wiedział w którą się zwrócić stronę? To znów skłoniło Wiktora Hugo do skreślenia kilku zgryźliwych uwag — „oto kilka kropel deszczu, czarna chmura, która wyłoniła się nie w porę, starczyły do światowego przewrotu". Amerykanie wolą mówić o seksie, skandalach, w ogóle o wszystkim co zahacza o kryminalistykę i kryminały.

Stąd te amerykańskie seriale telewizyjne, po które sięgnęła też rodzima nasza telewizja. Dobrze się to ogląda. Konwencja obowiązuje taka sama co w westernach. Jest zbrodnia, ale jest też kara. Dzielny szeryf w westernach zawsze w końcu bierze górę. Prawo zwycięża. Więc w pewnym sensie filmy kowbojskie, wbrew temu co się czasem sądzi, według mego skromnego zdania, jednak swe walory wychowawcze mają. Uważaj bratku, złamiesz prawo, pójdziesz za kratki. Albo pójdziesz do ziemi po walce na bębenkowce z niezwyciężonym szeryfem. Ta sama konwencja obowiązuje w telewizyjnych serialach kryminalnych. To jedynie, że funkcję dzielnego szeryfa spełnia w tym wypadku genialny detektyw. Tam spojrzy, to powącha i wiedziony nieomylną intuicją idzie po nitce do kłębka z nieubłagalnością przeznaczenia. Nie masz szans łobuzie, Colombo i tak położy ci na ramieniu dłoń sprawiedliwości. Nie ujdziesz, choćbyś się pod ziemię schował. I raptem ten grom z jasnego nieba. Nagle Patrick Murphy wykazuje w swej książce, którą można kupić za jedyne jedenaście dolarów bez pięciu centów, że to wszystko bujda na resorach i same głodne kawałki. Genialny detektyw? Komu z tym dobrze niech w to wierzy. Odciski butów, włos z dywanu za paznokciem, ślad krwi na kapocie, odcisk palca na samochodowej karoserii i już przestępca ma kajdanki na rękach? Śmiechu warte.

Murphy twierdzi w oparciu o swe długoletnie doświadczenie, że nie przypomina sobie zbrodni, której sprawcę wykryto by na podstawie odcisków palców. Po pierwsze tylko idiota w dzisiejszych czasach takie odciski zostawia. A jeśli jest idiotą i zostawia, czasem to się zdarza, to te odciski są tak zniekształcone i tak niewyraźne po ich zdjęciu, że niczego z nich odczytać się nie daje.

Murphy pisze w swej książce o wielu innych rzeczach. Jest to książka demaskatorska. Murphy utrzymuje, że osławiona „FBI", która posługuje się w ściganiu przestępców najnowocześniejszymi urządzeniami technicznymi, trudnych spraw unika. Boi się jak ognia porywaczy, gangów operujących w narkotykach i domów gry, w ogóle organizacji o charakterze mafijnym. Bo wobec gangów ogromna i kosztowna machina „FBI" jest bezradna. W obawie przed kompromitacją woli się zatem w te sprawy nie wplątywać. Raczej poluje na przestępstwa łatwe do wykrycia, bo wtedy splendor jest duży i gloria niewątpliwa. Murphy pisze wprost: „Rzekomo genialni detektywi potrafią spośród dwudziestu poważniejszych przestępstw tylko jedno wykryć i doprowadzić do rozprawy sądowej".

— Wszystko co mówi się o detektywach, to mity i legendy — dowodzi komisarz Patrick Murphy. Posuwa się nawet dalej. Według niego wszystkie te nowoczesne metody zwalczania przestępczości przynoszą więcej szkody niż pożytku. Współczesny policjant rozjeżdżający po mieście policyjnym wozem, uzbrojony w słuchawki, obwieszony drutami, wyposażony w nadajniki radiowe, stracił kontakt z ludnością. Technika izoluje go od ludzi. Poszedł w zapomnienie dawny styl policyjnej pracy, kiedy to „con" mieszał się z przechodniami, chodził po najbardziej zakazanych katach i miał wspaniałą łączność ze społeczeństwem.

Jakie z tego wnioski? Murphy jest zdania, że najlepszym sposobem wykrywania przestępstw jest czynne współdziałanie społeczeństwa z policją. Większość zbrodni jest wykrywana przy pomocy ludzi dobrej woli. Ten pierwszy i najważniejszy ślad wskazuje zwykle policjantowi ktoś z najbliższego otoczenia ofiary zbrodni, bądź samego zbrodniarza. Ludzie więcej widzą i więcej wiedzą niż wszystkie aparaty podsłuchowe powłączane w melinach i telewizyjne kamery poukrywane na skrzyżowaniach razem wzięte, niż cała w ogóle technika i wszystkie te cuda policyjnych laboratoriów badawczych. Starczy wejść między ludzi. Starczy madrze się przepytać. Te najprostsze środki są wciąż jeszcze najskuteczniejsze. Bez pomocy samej ludności rosnącej fali przestępstw nie opanuje się nigdy. Tyle komisarz Murphy o mitach-legendach i bzdurach zawartych w telewizyjnych serialach kryminalnych. Co do pogody, to Anglicy zdradzają od pewnego czasu zaniepokojenie.

Otóż poważni naukowcy zabrali się do poważnej roboty nad poważną ingerencją człowieka w kształtowanie się pogody. Chcieliby pogodą manipulować. Chcieliby na nią wpływać w ten sposób, by można ją było zaprogramować na cały tydzień z góry, jak programuje się programy telewizyjne. Broń Panie Boże, wołają Anglicy, tego by jeszcze brakowało, o czym byśmy wtedy rozmawiali?

JAN BĄBIŃSKI

co rzeczywiście wydarzyło się w więzieniu w Stammheim?

Publikujemy obecnie trzeci i ostatni odcinek artykułu Karla-Heinza Janssena z hamburskiego „DIE ZEIT" na temat wydarzeń w stuttgarckim więzieniu Stammheim w październiku 1977 roku.

CO ZNAJDYWANO W CELACH?

Skandal zaczął się od „Minoxa". Późnym wieczorem, 12 września 1977 roku, w tydzień po uprowadzeniu Hannsa-Martina Schleyera, więzień Andreas Baader zażądał nagle widzenia się z wysokimi funkcjonariuszami więziennymi. To, czego Baader dowiedział się, mimo zakazu kontaktowania, było dostatecznie alarmujące. Tego dnia „Komando im. Siegfrieda Hausnera" przekazało rządowi federalnemu 24-godzinne ultimatum; opublikowana po południu przez Agence France Presse wiadomość na ten temat nie miała być jednak, na prośbę Federalnego Urzędu Prasowego, podawana w Republice Federalnej. Czyżby więzniowie ze Stammheim otrzymali informacje radiowe lub znaki optyczne z zewnątrz? Czy też Baader słuchał jakiejś zagranicznej stacji radiowej?

Rano, kiedy prokurator i pełnomocnik Federalnego Urzędu Kryminalnego udali się do rozmównicy na rozmowę z Baaderem, funkcjonariusze przetrząsali jego celę. Rewizja przeciągała się. Baadera zamknięto w pustej celi nr 715. Niedługo potem zadzwonił on do dyżurki, żeby mu przyniesiono kawę z jego celi. Jeden z urzędników, przeprowadzających rewizję, wziął do ręki pudełko z filtrami do kawy, żeby je zanieść, usłyszał jakiś podejrzany odgłos i odkrył — kamerę małoobrazkową „Minox", baterię do niej i kasetę z filmem 36 mm.

O tym, że gdzieś jest ukryty aparat fotograficzny, funkcjonariusze więzienni wiedzieli już dawno. W końcu listopada 1976 roku, kiedy w sieci zastawione przez policję wpadł kryjący się w podziemiu adwokat Siegfried Haag, urzędnicy kryminalni zatrzymali tymczasowo pewną pracownicę stuttgarckiego biura adwokata Croissanta: Elisabeth von Dysk. W jej mieszkaniu znaleźli naświetliony negatyw filmu z „Minoxa" oraz odbitki zdjęć Baadera, Ensslin i Raspego oraz widoków z okien cel.

Ludzie, na których spoczywała odpowiedzialność za Stammheim, zadowolili się stwierdzeniem, że kamerę i film przeszmuglował z więzienia pewnie jakiś adwokat. Wiadomość o tym dotarła do ministerstwa po 9 dniach, a mogła przez gońca dotrzeć w godzinę. Na dzień przed dotarciem raportu o znalezionym „Minoxie" do ministerstwa, wiadomość o tym ukazała się w „Die Welt".

BAŁAGAN W CELACH

Kiedy Vogel — federalny minister sprawiedliwości — badając tę sprawę, usłyszał, jako usprawiedliwienie, że na skutek bałaganu, panującego w celach, skuteczna rewizja była bardzo utrudniona, jego cierpliwość wyczerpała się. W niezwykłym u niego chłodnym i rzeczowym tonie zwrócił się za pośrednictwem dalekopisu do swego stuttgarckiego kolegi Bendera, aby na przyszłość zechciał zadbać o lepsze warunki przy przeprowadzaniu kontroli w celach, a ponadto zapobiegł temu, by „takie lub podobne przedmioty mogły w sposób niezauważony dostawać się do cel tych więźniów".

Ale one tam już dawno były. Prokurator generalny Rebmann przedstawił, w jaki sposób kamera, pistolety, paczuszki z materiałem wybuchowym mogły się dostać do więzienia — w „pojemniku" na akta obrońcy.

HIPOTETYCZNY KURIER

Na kuriera wybrano Arndta Muellera który był znany ze swej zimnej krwi. Mueller wyraził gotowość odbycia „próbnej tury" z „Minoxem". W tym celu wewnątrz stosunkowo cienkiej teczki do akt wycięto dziurę; następnie części stron posmarowano klejem introligatorskim i tak zlepiono, że podczas pobieżnego przeglądania akt, nic nie można było zauważyć. „Kurier" nie mógł jednak podczas kontroli wypuszczać teczki z rąk, bowiem wówczas kontroler zauważyłby niezwykły ciężar akt. Adwokat nic przy tym nie ryzykował — gdyby zażądano od niego oddania akt, mógłby odmówić i wyjść na znak protestu przeciwko temu żądaniu.

Odtąd transport przy użyciu „pojemników" podobno kwitł — w korytarzu budynku „procesowego", gdzie mieściły się cele, adwokaci i więźniowie mogli się spotykać bez nadzoru i tam podobno wymieniano pełne teczki z aktami na puste. W ten sposób, jak twierdzą informatorzy, do cel przywędrowały piecyki elektryczne, żelazka, słuchawki, kable, radia tranzystorowe, a przypuszczalnie także liczne żarówki; wartownicy nigdy nie potrafili sobie uzmysłowić, w jaki sposób dostały się one do rąk więźniów.

Adwokat Mueller — nadal według wersji władz dochodzeniowych — mógł przetransportować pierwszy pistolet w przekonaniu, że są to części kochera. Aby nikt nic nie zauważył, odjęto obie zewnątrzne części rękojeści i zawinięto broń w papierowe chusteczki. Od marca do czerwca, a więc już także po zakończeniu procesu, na siódme piętro „twierdzy Stammheim" przemycono następujące przedmioty: pistolet marki Heckler i Koch z lufą 9 mm; węgierski pistolet kalibru 7,65 mm, marki FEG, oba z pełnymi magazynkami; colt kalibru 38, marki Smith i Wesson z niklowaną lufą i 18 nabojami; w końcu tyle materiału wybuchowego — plastiku, że wystarczyłoby to na wysadzenie w powietrze drzwi do cel i rozwalenie murów...

Tak to mogło mniej więcej wyglądać. Informatorzy, którzy liczą na to, że ich dobrowolne zeznania zostaną uznane przy wymiarze kary za okoliczność łagodzącą, sprawiają wrażenie wiarygodnych, bowiem w ogóle dopiero dzięki ich wskazówkom, ujawniono colta w murze celi nr 723, a w innych miejscach psy znalazły dokładnie określone niewielkie ilości środków wybuchowych.

Komisja parlamentu krajowego przesłuchała trzech strażników więziennych spośród tych, którzy pełnili służbę w czasie procesu w Stammheim. Wszyscy trzej zeznali, że w czasie ich służby żaden adwokat nie mógł przemycić w aktach pistoletu, ani żadnego innego zakazanego przedmiotu w sposób opisywany przez Rebmanna. Adwokatów rewidowano przez obmacywanie i sprawdzano przy pomocy detektorów; wszystkie przedmioty, jakie mieli przy sobie, również akta, musieli odkładać na stół. Funkcjonariusz brał akta — których nie wolno mu było czytać — do ręki, szybko je przekartkowywał i potrząsał nimi; grubsze teczki z aktami badano również sondą do wykrywania metali.

ZEZNAJE IRMGARD MOELLER

Irmgard Moeller zna swoją rolę: jest niewątpliwie główna bohaterka, niepotrzebni jej są tepi suflerzy — adwokaci, stojący po jej prawej stronie. Nie zwraca też uwagi na publiczność. Przeżyła przez przypadek, czy z wyrachowania? Czy ona sama w ogóle wie, jak było naprawdę?

W nocy z 17 na 18 października 1977 roku słyszała, jak Baader i Raspe brali lekarstwa. Wysłuchała wiadomości wieczornego dziennika radiowego za pośrednictwem radia więziennego, do którego mogła się potajemnie podłączać za pośrednictwem słuchawek. Krótko po piątej usłyszała jakieś głosy: „wszystko niesamowicie ciche" — „dwukrotnie wystrzał, oczywiście, stłumiony", „ciche skrzypienie" i, dokładniej „stłumiony strzał dwa razy w krótkim odstępie czasu". Nie przyszło jej w ogóle do głowy, że ktoś mógł naprawdę strzelać.

Rano, jak twierdzi, ocknęła się z głębokiego omdlenia, kiedy ktoś podniósł jej powieki; leżała na noszach na korytarzu, pokryta krwią. Zapewnia, że nie zadała sobie ran kłutych na lewej piersi, ani też zadrapań i otarć na wewnętrznych stronach przegubów.

Lekarze sądowi nie bardzo wiedzą, co o tym myśleć. Samobójstwo przez zadanie sobie ciosów ostrym narzędziem zdarza się stosunkowo rzadko. A do tego, jeśli narzędziem miał być tępy nóż? Jednakże doświadczenie uczy, że w razie wątpliwości, raczej mało odpowiednie narzędzie i nietypowe zranienia przemawiają bardziej za samobójstwem niż za morderstwem.

Już po śmierci Ulriki Meinhof w kręgach lewicowych krążyły pogłoski, że istnieją środki odurzające, które nie pozostawiają żadnych śladów. Profesor Mallach, lekarz sądowy, toksykolog z Tybingi:

„Nie jest mi znany żaden taki środek. Nie znaczy to, że nie istnieje jakaś substancja roślinna, która mogłaby mieć takie działanie. Ale musiałoby to być coś nader rzadkiego i wyjątkowego. W literaturze światowej nigdy się na nic takiego nie natknąłem".

TRZY LSTY

W późnych godzinach popołudniowych 18 października 1977 roku pastor Erwin Kurmann, ewangelicki kapelan więzienny w Stammheim, zwrócił się do prokuratury stuttgarckiej, żeby w czasie oględzin celi Gudrun Ensslin przyjrzano się teczce z napisem „adwokat". Poprzedniego dnia w godzinach popołudniowych więźniarka i córka pastora rozmawiała mniej więcej półtorej godziny w celi spotkań z gośćmi, z Kurmannem i jego katolickim kolegą Hansem Peterem Riederem. Sama prosiła nieoczekiwanie o tę rozmowę. Nie szukała pociechy duchowej, sprawiała wrażenie jak najbardziej odprężonej i pogodnej. Przyszła jej tylko na myśl sprawa teczki na akta.

Zanim zaczęła o tym mówić, rozpoczęła rozmowę od słów: „Zostaniemy tu zgładzeni". I tej myśli nie dała też wybić sobie z głowy. Jeśli by to nastąpiło, księża mieli zadbać o to, aby trzy listy, które napisała do szefa Federalnego Urzędu Kanclerskiego, Manfreda Schuelera, rzeczywiście dotarły do odbiorcy.

Kiedy nadradca policji kryminalnej Guenter Textor z Krajowego Urzędu Kryminalnego przeszukiwał razem ze swymi urzędnikami celę Ensslin, teczka natychmiast rzuciła mu się w oczy. Czerwona obwoluta na akta leżała na widocznym miejscu pośród rozgardiaszu — wśród skrzyń, toreb, puszek, artykułów żywnościowych, kabli, ubrania i papierów, obok materaca. Textor wreczył ją z całą zawartością sędziemu — kobiecie z sądu okręgowego Stuttgart-Bad Canstatt; poleciła na razie schować ją do koperty. Później teczkę wyjął prokurator Herrmann, który prowadził dochodzenie i zbadał jej zawartość. Nie było żadnych listów od sekretarza stanu Schuelera. Herrmann przekazał teczkę policji. Kiedy jeszcze tego samego dnia wieczorem przesłuchiwano księdza katolickiego Riedera, nadradca policji kryminalnej Textor przyniósł z sobą teczkę otworzył ją w „obecności prokuratora" i pokazał mu, że nie ma w niej trzech listów.

SAMOWOLNA DEFINICJA

Od czasu, kiedy Holger Meins zmarł w listopadzie 1974 roku w następstwie strajku głodowego, wszyscy, na których ciąży odpowiedzialność, musieli oczywiście uświadomić sobie jasno, że RAF, razem z niektórymi jej adwokatami przypisywać będzie zawsze państwu winę za tego rodzaju wypadki śmierci, ponieważ nie spełniło ono uzasadnionych żądań więźniów. Irmgard Moeller, zeznając przed stuttgarcką komisją śledczą, dopomogła w definiowaniu tego utożsamiania samozagłady z winą obcych. Na pytanie, jak ocenia śmierć po strajku głodowym, odpowiedziała bez namysłu: „Jest to morderstwo".

Z wielu enuncjacji RAF, także z grypsów więziennych, okólników więziennych, listów prezentujących poglądy i „Infos" (tajnych informacji wewnętrznych) skonfiskowanych przez prokuraturę federalną w ciągu wielu lat wynika, że członkowie RAF nie tylko na zewnątrz, lecz także jeszcze w celach chcieli — w imię realizacji swoich celów politycznych — poświęcić swoje życie nawet w drodze samozagłady, jeśliby zaszła taka potrzeba. Co prawda władze dopiero po wypadkach śmierci w Stammheim uświadomiły sobie pewne związki, dopiero post factum zrozumiały, jak serio były pomyślane i jak konsekwentne pewne pogróżki pod adresem władz względnie wskazówki skierowane do towarzyszy. A przy tym zespół RAF już w swoim wywiadzie dla „Spiegla" przed dokładnie trzema laty cytował „Che" Guevarę: „Guerille powinien narażać swoje życie tylko wówczas, jeżeli jest to bezwzględnie konieczne, ale wtedy bez chwili wahania".

Tej linii postępowania trzymał się w każdym razie „zasadniczy trzon" do października 1977 roku jak na to wskazują wypowiedzi trzech więźniów, w Stammheim w ostatnich tygodniach ich życia. Swego czasu Holger Meins powiedział adwokatowi Croissantowi: „W razie, jeśli w więzieniu z życiem zamienie się w zmarłego, będzie to morderstwo — niezależnie od tego, co te świnie będą twierdzić".

ZAKAZ KONTAKTÓW

Czwórce więźniów nie wolno było przyjmować adwokatów ani żadnych innych gości; nie wolno im było otrzymywać listów, paczek i telegramów, ani też dzienników, czasopism i książek. Zabroniono im słuchania audycji radiowych i telewizyjnych, zabroniono rozmów telefonicznych i korespondowania. Nie wolno im było już wspólnie nocować w celach ani przebywać przez kilka godzin na korytarzu przed celami, zabroniono im też wspólnego „spaceru po dziedzińcu" — na dachu urządzonym jak ogród; zamiast, jak dotychczas, 90 minut każdy z nich mógł przebywać na wolnym powietrzu tylko trzydzieści minut. Więźniowie nie mogli wymieniać między sobą książek i akt. Zabroniono im wspólnego kupowania artykułów spożywczych, wspólnego uprawiania sportu czy też wspólnego chodzenia do celi-czytelni.

W ciągu dnia więźniowie mogli porozumiewać się okrzykami od drzwi do drzwi, jeśli nawet prowadzono kogoś na kąpiel albo na spacer w towarzystwie czterech albo pięciu urzędników, wykorzystywano okazję dla kontaktu, wbrew ostrzeżeniu, że kto tak się zachowuje, naraża się na niebezpieczeństwo iż „w przyszłości nie będzie wypuszczany z celi".

Jeżeli nawet nie wiedziano o tajnej łączności więźniów za pośrednictwem „telefonu w celach" radia wewnętrznego, a być może także, za pośrednictwem systemu Morse'a i mini-nadajników — cel wewnętrznego zakazu kontaktowania się więźniów został i tak sprowadzony na uprawianie sportu i zakupy w celi z żywnością, rzecz jasna pod nadzorem.

W Bonn wiedziano najpóźniej 12 września 1977 r. o tym, że z zakazem utrzymywania kontaktów nie jest tak jak sobie życzono. Federalne ministerstwo sprawiedliwości domagało się bowiem, aby komunikować mu o rzucających się w oczy zachowaniu więźniów. 6 października 1977 roku dr Henck, który nawiązał z więźniami RAF jaki taki kontakt, wszedł do celi Raspego. Znalazł więźnia całkowicie przybitego, który skarżył się na kłopoty ze spaniem i który miał trudności w mówieniu. Miał łzy w oczach i bez ogródek robił aluzje o samobójstwie.

Od tego czasu lekarz więzienny nie pozbył się „niedobrych przeczuć" i „podskórnych obaw". Naczelny komisarz policji kryminalnej z Federalnego Urzędu Kryminalnego, Klaus, który w czasie wprowadzonego zakazu kontaktów wielokrotnie odwiedzał więźniów, miał po 8 października 1977 r. uczucie konkretnego niebezpieczeństwa samobójstw — trzeba było chyba nastawić się na to, że więźniowie targną się na swoje życie, jeżeli poniesie fiasko próba uwolnienia ich w drodze presji. Wielu urzędników więziennych twierdzi że Baader był z dnia na dzień coraz bardziej nerwowy, krnąbrny i dziwny.

Cała praktyka więzienna uczy że jeżeli więzień chce się zabić, trudno mu raczej w tym przeszkodzić. Kierownictwo więzienia i władze wymiaru sprawiedliwości stały się więc bezradne w obliczu zbliżającego się nieszczęścia. Z pewnością w Stammheim nikt nie wiedział o zbliżającej się akcji GSG-9 w Mogadiszu. W Stuttgarcie jednak musieli o tym wiedzieć. Premier Filbinger miał swego przedstawiciela w wielkim sztabie kryzysowym. Czy przynajmniej teraz nie nadeszła pora, aby odrzucić wszystkie względy i stale obserwować czwórkę więźniów przynajmniej przez parę dni. W końcu przecież chodziło nie tylko o ich życie, lecz również prezesa pracodawców, Schleyera. A może tej decydującej nocy w Bonn jak i w Stuttgarcie nie myślano o Stammheim?

PYTANIA I WĄTPLIWOŚCI

1. Kiedy zmarli więźniowie Baader i Ensslin?

Między północą a szóstą rano — na taką ocenę zgodzili się obserwatorzy międzynarodowi, prof. Hartmann z Zurychu i prof. André z Liege, po dyskusji z obu niemieckimi lekarzami, którzy przeprowadzili obdukcje.

2. Co przemawia w sensie medycznym przeciwko samobójstwu?

Nic nie przemawia przeciwko samobójstwu trzech zmarłych więźniów. W przypadku Raspego broń trzymana była (strzał w skroń) w sposób „absolutnie klasyczny dla samobójstwa". Gudrun Ensslin, zgodnie z ustaleniami medycyny, nie mogła być powieszona już nieżywa.

3. Czy można przestrzelić sobie głowę od tyłu?

Rodzaj śmiertelnego strzału u Baadera jest bardzo rzadki, jednakże w międzynarodowej literaturze prawno-medycznej można znaleźć szereg takich przykładów. Jak potwierdzają pokazy, można taki strzał wykonać na trzy różne sposoby bez zbyt wielkiego trudu.

4. Dlaczego leworęki Baader ma ślady prochu na prawej?

Musiał prawa ręka trzymać lufę, kiedy pociągnął za spust lewą. Obcy, który chciałby upozorować samobójstwo, wziąłby broń przypuszczalnie w prawą rękę.

5. Czy były odciski palców na broni?

Tak ale nie było żadnych, które by można wykorzystać. Ślady były zamazane, albo było zbyt mało linii papilarnych.

6. Czy więźniowie byli pod działaniem środków farmakologicznych?

Baader i Raspe otrzymali wieczorem, przed śmiercią, tabletki nasenne. Ponieważ obaj byli przyzwyczajeni do silnych środków otrzymywanych tylko na recepte, tabletki nie wystarczyły, żeby ich uśpić — podniosły raczej ich dobre samopoczucie.

7. Czy więźniowie zostali oszołomieni substancjami trujących?

Badania przeprowadzone metodą chromatografii gazowej nie doprowadziły do stwierdzenia jakichkolwiek trucizn. Poziom środków uspokajających stwierdzony u Baadera i Raspego nie był tak wysoki żeby mógł doprowadzić do zakłócenia świadomości albo nieprzytomności.

8. Czy Irmgard Moeller mogła usiłować popełnić samobójstwo?

Zgodnie z ustaleniami ekspertów medycyny sądowej, w tym przypadku stwierdzono wiele typowych oznak próby samobójstwa przez przebicie się nożem.

9. Czy istniała alternatywa: tępy nóż albo spiczaste nożyczki?

W celi Irmgard Moeller znajdowały się normalne nożyczki używane do szycia. Broń, która został popełniony czyn nóż stołowy z kantyny, jest wprawdzie u góry nieco zaokrąglony, jednakże został tak wyostrzony w więziennym warsztacie ślusarskim że jest niezwykle ostry na całej długości ostrza. Nadawał się do tego celu.

10. Co z piaskiem na butach Baadera?

Brud na zelówkach jest jeszcze badany, to samo dotyczy wykładziny podłogowej w celach Baadera. O spekulacjach na temat pobytu Baadera w Mogadiszu można zapomnieć od czasu zeznań złożonych przez Irmgard Moeller.

11. Kto przemycił pistolety i materiały wybuchowe?

Dawni współpracownicy biura adwokackiego Croissanta zeznali w areszcie śledczym że ukryli broń w spreparowanych aktach podręcznych, które przez adwokata Arndta Muellera zostały przekazane oskarżonym na sali sądowej. Tym relacjom przeczą zeznania Muellera, policjantom którzy przeprowadzali kontrole i innych adwokatów. Broń mogła się dostać również inną drogą na przykład z pojazdami przyjeżdżającymi do kantyny albo w workach z gipsem w czasie przebudowy na 7 piętrze. Niektórzy gońcie w ogóle nie byli kontrolowani.

12. Czy morderstwo w Stammheim jest w ogóle do pomyślenia?

Eksperci medycyny sądowej z Lieże i Zurychu uważają zgodnie działanie obcych „za bardzo nieprawdopodobne". Na pytanie, czy w ogóle znalazłby się logiczny albo rozsądny argument przemawiający za tym, profesor Hartmann odpowiedział: „Zawsze jest jakaś możliwość".

U PRZYJACIÓŁ

MOSKWA. W marcowym numerze czasopisma „Kommunist" opublikowano recenzję książki **Leonida I. Breżniewa pt. „Problemy rozwoju systemu politycznego społeczeństwa radzieckiego".** W książce tej zebrane zostały wyniki teoretycznej, organizatorskiej i ideowo-politycznej pracy KPZR prowadzonej od listopada 1964 roku do października 1977, a więc do momentu uchwalenia nowej konstytucji ZSRR.

„W pracach Leonida I. Breżniewa — stwierdza „Kommunist" — zostało odzwierciedlone całe bogactwo demokratycznej organizacji życia społecznego w warunkach rozwiniętego socjalizmu. Zebrane zostały twórcze wnioski partii ukazany został proces ich opracowywania w miarę tego, jak partia i cały naród gromadziły nowe doświadczenia historyczne, w miarę znajdowania słusznych i naukowo uzasadnionych odpowiedzi na skomplikowane pytania, jakie nasuwają się w toku rozwoju społeczeństwa socjalistycznego w ZSRR. Nadaje to książce wielką wartość i sprawia, że jest ona niezastąpiona zarówno w badaniu całego zespołu zagadnień naukowego komunizmu, jak też w twórczym opanowywaniu nauki marksizmu-leninizmu".

PRAGA. „Rude Pravo" opublikowało tekst przemówienia sekretarza generalnego KC KPCz., prezydenta CSRS — Gustava Husaka, które wygłosił on 24 lutego 1978 roku na wiecu zorganizowanym na Rynku Staromiejskim w Pradze. W przemówieniu tym Gustav Husak przypomina, że świat i Europa są podzielone klasowo, a burżuazja nigdy nie pogodziła się z porażką, jaką poniosła w Czechosłowacji w lutym w 1948 roku. Przez cały czas atakowała ona socjalistyczną Czechosłowację a i ostatnio z okazji 30 rocznicy lutowego zwycięstwa w prasie burżuazyjnej nasilono ataki na CSRS. Prasa ta kolportuje różne plotki i oszczerstwa.

„Nie ukrywamy — stwierdzał S. Husak — że w naszej gospodarce obok sukcesów mamy również problemy. Otwarcie o tym mówimy, krytykujemy sami niedociągnięcia i staramy się je usuwać. Wszelka podstawa naszego działania jest zdrowy rozwój naszej gospodarki. Dlatego wszystkie tego typu oszczerstwa i wymysły są pozbawione podstaw.

Kierownictwo naszej partii — mówił dalej G. Husak — jest mocne i jednolite, jest zdecydowane realizować uchwały XV Zjazdu KPCz. i zadania szóstego planu pięcioletniego. Posiada pełne poparcie wszystkich ogniw frontu narodu, klasy robotniczej, pracującego chłopstwa i inteligencji oraz ogromnej większości społeczeństwa. Taka jest podstawowa polityczna prawda o naszej czechosłowackiej rzeczywistości".

BUKARESZT. W planie na 1978 rok Rumunia zakłada zbudowanie 219 tysięcy izb. Jedna trzecia planowanych mieszkań powstanie w innych miastach niż Bukareszt i stolice województw. Przeszło 70 procent wszystkich planowanych do wybudowania mieszkań powstanie w pobliżu przedsiębiorstw przemysłowych, aby w ten sposób skrócić ludziom drogę do pracy. Założono również że 40 procent planowanych mieszkań składać się będzie z trzech i więcej pokoi.

BELGRAD. 9 lutego 1978 roku obradowało w Jugosławii V Plenum Komitetu Centralnego ZKJ. Na plenarnym posiedzeniu KC ZKJ przyjęto projekt tez które będą przed XI Zjazdem ZKJ dyskutowane w organizacjach terenowych. Tezy są obszernym dokumentem, liczącym 270 stron maszynopisu podzielonych na 6 rozdziałów.

W tezach stwierdza się że sytuacja społeczno-gospodarcza Jugosławii między zjazdami nie uległa większym zmianom. Wiele zadań postawionych przez poprzedni, X Zjazd ZKJ zrealizowano, a niektórych uchwał nie udało się zrealizować. Stąd też KC ZKJ stawia przed narodami Jugosławii zadania podobne do tych jakie podjął poprzedni zjazd.

SOFIA. Od dłuższego czasu prasa bułgarska zajmuje się rozwojem motoryzacji. Wprawdzie Bułgaria nie produkuje samochodów osobowych ani też nie montuje ich z części dostarczanych przez zagranicznych producentów to znaczne ilości samochodów importuje. Między innymi z ZSRR Polski W ubiegłym roku ilość samochodów osobowych w Bułgarii wzrosła o 17 procent w stosunku do 1976 roku.

Temu wzrostowi motoryzacji nie towarzyszy odpowiednio szybki wzrost usług. Obecnie na każde 100 samochodów przypada w Bułgarii 0,43 stanowiska naprawczego, a w 1975 roku było 0,55. Z planów wynika że w 1980 roku na każde 100 samochodów miało w Bułgarii przypadać jedno stanowisko naprawcze. Dyrektor zjednoczenia „Mototechnika i Autoserwis" odpowiadając na pytania dziennikarza „Zemedelsko Zname" stwierdził że winę za powolny rozwój zaplecza motoryzacji ponosi szybki rozwój motoryzacji.

Jednakże organa kontroli państwowej wykazały, że nie wszędzie wykorzystuje się urządzenia, że wadliwa jest organizacja pracy, choć już niektóre stacje obsługi pracują na dwie zmiany. Ustalono też, że w ciągu 9 miesięcy 1977 roku awarii uległo w Bułgarii 96 tys. samochodów, a do stacji obsługi trafiło tylko 16,5 tysiąca.

Południowokoreański dyktator Pak Dzong Hyi, dążąc za wszelką cenę do utrzymania się u władzy, wzmaga terror i represje policyjne, bezlitośnie rozprawia się z wszelką opozycją. Mimo rosnących protestów międzynarodowej opinii, kompleks wojskowo-przemysłowy Stanów Zjednoczonych nadal udziela szczodrej pomocy reżimowi w Seulu, dążąc do przekształcenia Południowej Korei w strategiczną bazę zabezpieczającą zamysły USA.

POŁUDNIOWA KOREA

ARMATY ZAMIAST RYŻU

Reżim w Korei Południowej utrzymuje w pogotowiu potężną armię liczącą 700 tysięcy żołnierzy, piątą co do wielkości armię na świecie. Tego roku na uzbrojenie asygnowano 1.900 milionów dolarów, tj. około jednej trzeciej części całego południowokoreańskiego budżetu. Ponadto proponuje się uzupełnienie tej sumy 450 milionami dolarów na rozwój przemysłu zbrojeniowego. Warto wspomnieć przy okazji, iż w latach 1964—1973 w szeregach ekspedycyjnego korpusu amerykańskiego w Wietnamie walczyło 312 tysięcy południowokoreańskich najemników.

Jeszcze do dziś stoi w Phanmundżom barak, w którym 27 lipca 1953 roku podpisano rozejm, kładący kres trzyletniej wojnie, podczas której — z rozkazu naczelnego dowództwa amerykańskiego — zrzucono średnio po 18 bomb na każdy kilometr kwadratowy terytorium Korei, a amerykańskie straty wyniosły 282 tysiące żołnierzy. Zgodnie z warunkami rozejmu, z Korei miały ustąpić wszystkie obce wojska, jednakże Amerykanie milczeniem pominęli ten warunek rozejmu. Phanmundżom jest symbolem wojskowej klęski najpotężniejszego imperialistycznego mocarstwa i rozczłonkowania Korei. Jakie cele poza koniecznością podtrzymywania reżimu Pak Dzonga, przyświecają dziś Amerykanom, utrzymującym 40 tysięcy swoich żołnierzy w Południowej Korei? Trzeba bowiem pamiętać, iż armia ta jest uzbrojona w najnowocześniejszy sprzęt wojskowy włącznie z balistycznymi rakietami i 700 bombami atomowymi. Trudno w tych okolicznościach usprawiedliwiać wojskową obecność Amerykanów w Południowej Korei dążeniem do wzmocnienia armii Pak Dzonga. Nasuwa się więc przypuszczenie, że wykonuje ona tutaj inne zadania.

Korespondenci z różnych krajów piszą, że Korea rzeczywiście „usprawiedliwia swoją nazwę „Kraju porannej świeżości". Niezakłócony spokój ryżowych pól, przezroczysty błękit nieba, ciche wioski z pagodami krytymi szaro-żółtą dachówką, przyjazne dzieci, kobiety pełne gracji, kopulaste kształty wzgórz, pastelowe barwy kwiatów na tle soczystej zieleni drzew, krzewów, trawy. Po południowokoreańskiej stronie — nie uprawiona, drutem kolczastym spętana ziemia, a na niej rozrzucone wieżyczki obserwacyjne. Z tego pejzażu można sądzić o obliczu całej Południowej Korei.

Współczesne gmachy i drapacze chmur przydają Seulowi oblicza miast amerykańskich i są „wyraźnym świadectwem ekonomicznego boomu" — jak to precyzują reżimowe gazety. W latach 60-tych, za cenę ogromnych długów sięgających około 8 miliardów dolarów, rytm rozwoju południowokoreańskiej ekonomiki był tak niezwykły, iż zaczęto go nazywać „cudem gospodarczym". Ale w gruncie rzeczy ekonomika Południowej Korei jest całkowicie uzależniona od zagranicznego kapitału, a w szczególności od amerykańskiego i japońskiego. Jest ukierunkowana wyłącznie na eksport, przy czym z górą połowa tego eksportu idzie do Stanów Zjednoczonych i Japonii. Jest to zatem polityka typowo neokolonialna, która przytłaczającą część społeczeństwa pogrąża w nędzy, a z drugiej strony tworzy przywileje garstce bogaczy. Istotnie, większa część mieszkańców Południowej Korei wegetuje w niewiarygodnej nędzy.

Płace są bardzo niskie, jeśli rodzina jest liczna, nie starcza pieniędzy na zakupno niezbędnej ilości ryżu. Jeden, dwa talerze ryżu, to cała dzienna racja pożywienia, okraszona kilkoma łyżkami cienkiego sosu. W ciągu sześciu lat cena ryżu podnosiła się trzykrotnie. Warunki pracy w fabrykach są wprost nieludzkie. Dzień pracy trwa średnio 12, a nieraz 18 godzin. Nie ma premii i wynagrodzeń za godziny nadliczbowe. Kobiety zarabiają dwukrotnie mniej niż mężczyźni, zamążpójście z reguły powoduje zwolnienie z pracy. W niektórych fabrykach, na przykład w zakładach firmy „Sigmatik" — filii amerykańskiej firmy elektronicznej — robotnicom podaje się środki dopingujące, żeby nie zwaliły się z nóg z powodu niedosypiania i przemęczenia. Jeszcze gorzej żyje się ludziom na wsi. 80—90 procent chłopów nie ma ziemi i musi pracować u wielkich posiadaczy ziemskich. W okresie chłodów życie na wsi staje się tak nieznośne, że wielu wieśniaków porzuca rodziny i udaje się do miast w poszukiwaniu pracy, osiedlając się w dzielnicach biedoty i powiększając armię bezrobotnych.

W Południowej Korei coraz więcej ludzi musi się zajmować tak zwaną pracą uboczną — czyszczeniem obuwia, małym handelkiem z ręki do ręki, zamiataniem ulic itp., a kobiety — prostytucją. Trzy miliony dzieci w Południowej Korei nie chodzi do szkoły. W krainie, która na przestrzeni całych wieków była żywicielem całej Korei, władze głoszą umiarkowanie wstrzemięźliwość, to znaczy dni bezryżowe, w które, pod groźbą więzienia, zezwala się na spożycie tylko rzadkiej mącznej zupy — wstrętnego posmaku amerykańskiej pomocy.

Naoczni świadkowie opowiadają o południowokoreańskich więzieniach, w których tortury są zjawiskiem codziennym, o wyrokach śmierci i egzekucjach. Seulski reżim jest jednym z najokrutniejszych reżimów świata, najbardziej rozpasaną dyktaturą, jaką kiedykolwiek wydał świat. W Południowej Korei zniesiono wszelkie swobody obywatelskie, działają tutaj wyłącznie prawa wojskowe i nadzwyczajne dekrety, gwałcące najbardziej elementarne prawa człowieka. W celu ochrony istniejących porządków stworzono swego rodzaju gestapo — południowokoreańskie CIA, liczące 18 tysięcy agentów i setki tysięcy donosicieli. W Południowej Korei, jak się tutaj mówi, na każdy kwadratowy kilometr terytorium przypada 40 agentów tajnej policji, lub inaczej — jeden agent na 8 mieszkańców (!)..

O stosunkach panujących w Południowej Korei świadczy następujący fakt, który podaję za korespondentem „L'Humanite". Po studenckich demonstracjach, przed wejściem do uniwersytetu w Seulu wybudowano koszary (!), w których dzień i noc przebywało 500—600 żołnierzy w stanie pełnej gotowości bojowej. We wszystkich pomieszczeniach uniwersytetu zainstalowano kamery telewizyjne, które pozwalają na obserwowanie wszystkich pomieszczeń w gmachu uniwersytetu. Studentom nie wolno zbierać się na korytarzach w grupach większych niż 10 osób, nieprzestrzeganie tego zarządzenia pociąga za sobą natychmiastowy areszt. Południowokoreański dyktator Pak Dzong Hyi ma wszelkie podstawy żeby obawiać się studentów. Wystąpienia młodzieży w kwietniu 1960 roku doprowadziły do upadku jego poprzednika, Li Syn Mana, i dopiero w maju 1961 roku Amerykanie „wzięli odwet" na studentach organizując przewrót wojskowy, który wyniósł do władzy Pak Dzong Hyi.

Ten „Kraj porannej świeżości" jest jednym z najbardziej zapalnych punktów na kuli ziemskiej. Wytworzona tutaj sytuacja wzbudza tym większy niepokój, iż linia demarkacyjna jest terenem niezliczonych incydentów, które kiedyś mogą się przerodzić w poważne starcia zbrojne. Niedawno, kilka kilometrów od 38 równoleżnika, odbyły się wielkie manewry południowokoreańskiej armii z pozorowanym atakiem na terytorium Koreańskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej, na których, obok Pak Dzonga, byli obecni amerykańscy oficerowie i dyplomaci z krajów zachodnich.

Prezydent Carter, w swoich przedwyborczych obietnicach, wspomniał o wycofaniu wojsk amerykańskich z Południowej Korei. Teraz jednak uchyla się od podjęcia decyzji w tej sprawie. Oświadczył on, iż USA pozostaną w Południowej Korei, a obietnica „stopniowego" wycofania amerykańskich żołnierzy dotyczy tylko wojsk lądowych. Do końca 1978 roku ewakuuje się z Płd. Korei zaledwie 6 tys. Amerykanów. Przy takim tempie na ewakuację całego amerykańskiego korpusu ekspedycyjnego potrzeba będzie 15 lat!...

JERZY CZECH

EGIPSKIE OBELISKI KTÓRYCH NIE MA W EGIPCIE

Obok piramid, także obeliski są dla świata symbolem wielkości starożytnego Egiptu. Te wspaniałe monumenty są jednak dziś więcej znane za granicą niż w Egipcie. Senior egipskich archeologów jeden z ostatnich, żyjących jeszcze uczestników prac wykopaliskowych przy grobowcu faraona Tutenchamona prowadzonych pół wieku temu, Labib Chabasi, z oburzeniem opowiada o niepowetowanej stracie, jaką poniósł Egipt. Utrzymuje on, iż w konsekwencji rabunkowego wywozu tych unikalnych granitowych pomników oraz marnotrawstwa narodowego dziedzictwa na przestrzeni ostatnich dwóch tysięcy lat w Egipcie pozostały dziś zaledwie cztery obeliski faraonów!

Rzym na przykład może się pochwalić aż trzydziestoma egipskimi obeliskami, przy czym wszystkie wieńczy symbol chrześcijaństwa, czego, oczywiście nie przewidywali ani nieznani twórcy obelisków, ani nawet rzymscy cesarze którzy te obeliski kazali do Włoch sprowadzać. Krzyżem jest „uświęcony" także 25-metrowej wysokości, wspaniały egipski obelisk, stojący przed katedrą św. Piotra.

W Paryżu, na Placu Concorde, wznosi się słynny obelisk faraona Ramzesa II. Przeważa mniemanie iż na prośbę Józefiny przywiózł go z Egiptu Napoleon, jako wojenne trofeum. Zachował się wprawdzie list z 1789 roku, w którym Józefina prosi o przysłanie maleńkiego obelisku", jednakże „igłę" ustawiono w Paryżu znacznie później z rozkazu króla Ludwika Filipa.

Egipski obelisk stoi także w Stambule, na tym samym miejscu, na którym ustawił go cesarz Teodozjusz. Również w Londynie, na jednej z ulic nad Tamizą wznosi się granitowa „igła" Przetransportowanie tego obelisku sto lat temu droga morską uważa się dziś za największe inżynieryjne osiągnięcie owych czasów. Identyczny obelisk wznosi się w nowojorskim Parku Centralnym.

W kamieniołomie pod Assuanem do tej pory można oglądać obelisk na wpół wykuty w ogromnym monolicie. Nie ma na nim śladu użycia metalowego narzędzia obróbki. Chabasi utrzymuje iż starożytni Egipcjanie używali do tego celu kulistych młotów z twardego krystalicznego bazaltu, którymi dokonywane obróbki całej powierzchni przyszłego obelisku. W swojej ostatniej książce: „Obeliski Egiptu — drapacze chmur przeszłości" Chabasi kreśli obraz pracy starożytnych kamieniarzy: kilka tysięcy ludzi po trzech w grupie otacza obelisk: w każdej grupie dwóch kamieniarzy podnosi i opuszcza kulisty młot, a trzeci ryzykując życiem naprowadza uderzenie młota w odpowiednie miejsce. I tak raz koło razu.

Do tej pory nikt nie wie dokładnie, jak potem transportowano te gigantyczne czworograniaste kolumny i jak je ustawiano w określonym miejscu. Pewne wyobrażenie o tym dają odczytane niedawno napisy na grobowcach mówiące o przewożeniu innych kolosalnych monumentów, jak np. kamiennych rzeźb faraonów, dwudziestokrotnej wielkości człowieka. Chabasi uważa iż używano wówczas wielotysięcznej armii niewolników którzy centymetr po centymetrze przesuwali te olbrzymie ładunki ustawione na drewnianych platformach.

Pierwszym Amerykaninem, który prowadził w Egipcie rozmowy w sprawie obelisku stojącego do dziś w Nowym Jorku był William Herlberg wydawca gazety „New York World". Miało to miejsce w 1869 roku. Prosił on ówczesnego władcę tego kraju Ismaila Pasze o podarowanie Ameryce obelisku w dowód przyjaźni. Kiedy Ismail Pasza spytał jaki z obelisków interesuje Amerykę Herlberg miał odpowiedzieć: „Wasza wysokość wystarczy jakikolwiek stary obelisk"...

(C)

KIERUNEK: USUNIĘCIE PRZESZKÓD
HISZPAŃSKA WIZYTA
POWRÓT NA CENTRALNĄ SCENĘ

Na światowym odprężeniu, jak wielekroć to podkreślaliśmy, **ważą w znacznym stopniu stosunki radziecko-amerykańskie.** Nic przeto dziwnego, że posiedzenie Prezydium Rady Najwyższej ZSRR poświęcone było szczegółowemu omówieniu wizyty, jaka niedawno delegacja Rady złożyła w Stanach Zjednoczonych. W trakcie obrad **przemówienie wygłosił Leonid Breżniew.** Podkreślił on, że ZSRR traktuje swe stosunki z USA jako ważny element polityki radzieckiej i że podstawą obecnych jest już cała seria porozumień i układów bilateralnych. Strona radziecka jest zainteresowana dalszym pogłębieniem współpracy na wielu polach.

Niestety, wciąż mają coś do powiedzenia siły, które ułożeniem stosunków radziecko-amerykańskich na zasadach dobrego sąsiedztwa nie są zainteresowane. Aktualnie najtrudniejszym problemem jest zahamowanie zbrojeń nuklearnych. **ZSRR opowiada się za finalizowaniem rozmów,** oczywiście, **jeśli wspólne postanowienia będą uwzględniały równe bezpieczeństwo.** Dalszemu postępowi w negocjacjach może jednak zagrozić zamiar produkcji broni neutronowej i jej rozmieszczenia również w Europie. Stąd też radziecka propozycja wzajemnego wyrzeczenia się tej broni. Ale w Stanach Zjednoczonych i NATO nie brak „entuzjastów" broni neutronowej, którzy nie szczędzą wysiłków, aby prez. Carter zaakceptował jej masową produkcję. Ostateczna decyzja odroczona została zaledwie do wiosny br.

Stanowisko ZSRR w sprawie zbrojeń wyłożone zostało raz jeszcze w Komitecie Rozbrojeniowym, gdzie przedłożono cały pakiet projektów układów i porozumień. (Pisaliśmy o tym przed tygodniem). Świadczą one, **jaki kurs proponują obrać kraje socjalistyczne.** Wspomniane zaś przemówienie Leonida Breżniewa przyjęte zostało w licznych kołach politycznych na Zachodzie jako **dążenie Związku Radzieckiego do usunięcia przeszkód we wzajemnych stosunkach i zdynamizowania ich.**

W Warszawie gościliśmy ostatnio ministra Spraw Zagranicznych Hiszpanii — Marcelino Oreja Aquirre. Odłożona została natomiast, na prośbę gościa, wizyta w naszym kraju hiszpańskiego premiera. Powodem była reorganizacja rządu, o czym jeszcze za chwilę.

W toku warszawskich rozmów, a potwierdza to wspólne oświadczenie, obie strony wyraziły swe zadowolenie z postępu w realizacji polityki odprężeniowej i podkreśliły potrzebę kontynuowania ogólnoeuropejskiego dialogu państw — sygnatariuszy Aktu Końcowego KBWE. Polska poparła propozycję, aby następne spotkanie przedstawicieli tych państw (kolejne po Belgradzie) odbyło się w Madrycie.

Stwierdzono również celowość aktywnego działania w kierunku powszechnego i całkowitego rozbrojenia pod skuteczną kontrolą międzynarodową. Oświadczenie podkreśla wagę radziecko-amerykańskiego dialogu na temat ograniczenia zbrojeń strategicznych i rokowań wiedeńskich, jak również tegorocznej specjalnej sesji Zgromadzenia Ogólnego NZ oraz światowej konferencji rozbrojeniowej.

W dziedzinie stosunków dwustronnych polsko-hiszpańskich oświadczenie mówi o rozwoju wzajemnych stosunków politycznych (m. in. przez coroczną konsultację MSZ) oraz o podniesieniu na wyższy poziom współpracy ekonomicznej naukowo-technicznej i kulturalnej. Obie strony dążyć będą ponadto do rozwoju turystyki, a przede wszystkim do rozszerzenia kontaktów młodzieży.

Prasa zachodnia pisze, że wizyta hiszpańskiego ministra w Polsce zapoczątkowuje serię spotkań z krajami Europy wschodniej, przy pomocy których **Madryt chce „odmrozić" swe stosunki** i włączyć się do aktywnej gry na europejskim forum. Zadanie to miał wypełnić premier Adolfo Suarez, ale właśnie przeorganizowywał swój rząd. Odsunął on od wpływów swą dotychczasową ekipę ekonomiczną na rzecz przede wszystkim ludzi z konfederacji przemysłowców. Zdaniem obserwatorów, będzie to miało głębokie i daleko idące konsekwencje. Czy jednak, jak chciałaby prawica, zahamuje reformistyczną politykę Suareza?

Do dzisiejszego przeglądu włączmy jeszcze jeden temat: **sukcesów wyborczych partii Indiry Gandhi.** Zapewniła ona sobie samodzielną większość w zgromadzeniach ustawodawczych dwóch wielkich prowincji, a w trzeciej — równowagę mandatów. Przypomnijmy, że niedawno partia kongresowa podzieliła się i większość jej polityków znalazła się w obozie przeciwnym. Wydarzeniami ostatnich dni **Indira Gandhi znów stała się centralną postacią polityczną Indii** i wielu komentatorów nie wykucza, że powszechne wybory w 1982 roku mogą ją znów wynieść do władzy.

Trudno o precyzyjne podanie przyczyn, dla których — tak szybko po przegranej — Indira Gandhi odnosi triumfy. Jedną z nich jest na pewno jej troska o poprawę warunków bytowania społeczeństwa Indii. Inną — śmiałe atakowanie rządzącej Janaty za wyhamowanie reform, które zapoczątkowała. Tak, czy inaczej wybory, o których mowa, mogą spędzać sen z powiek obecnej większości.

W. SŁAWSKI

SPRAWA NOWICKIEGO?

Ktoś się bardzo ucieszył, że piłkarze wyszli na boisko, bo to widomy znak, że wiosna się zaczęła. Istotnie aura — jakby chcąc zrobić piłkarzom przyjemność — bardziej przypomina wiosnę niż zimę. Do prawdziwej wiosny jeszcze daleko, choć to nie powód, aby o niej nie myśleć.

Myślą o wiośnie nie tylko piłkarze, którym wiosenne błoto przeszkadza grać. Myślą o wiośnie też kolarze. Kadra narodowa wprawdzie pojechała szlifować formę do Słonecznego Brzegu w Bułgarii, bo pogoda tam pewniejsza i drogi suche. Wiadomości nadchodzące z Bułgarii są pomyślne. Forma rośnie. Możemy mieć nadzieje, że w tym kolarskim sezonie nasi kolarze pokażą na co ich stać.

W kolarskiej kadrze szosowców zabrakło — jak zapewne wszyscy wiedzą — Mieczysława Nowickiego. Trochę na ten temat pisano, ale przypomnijmy sobie, jak to się stało.

Jesienią odbył się w Krynicy obóz, na którym wybrano kadrę. Na obozie tym nie było Mieczysława Nowickiego, który — jak mi to oświadczył — zwolnił się u trenera. A zwolnił się dlatego, że otrzymał nowe mieszkanie i przeprowadzał się. O tym, że nie ma go w kadrze dowiedział się z gazety. Był tym trochę zaszokowany, bo nikt mu nic przedtem nie zarzucał, nikt nie uprzedził go, że może nie wejść do kadry. Był więc nie tylko zaskoczony, ale i zdziwiony. A później przyszło rozczarowanie, poczuł się nagle niepotrzebny. Ale dlaczego? Tego ciągle nie wiedział.

Mieczysław Nowicki powiedział mi również, że w listopadzie 1977 roku wysłał do Polskiego Związku Kolarskiego — a konkretnie do prezesa do spraw szkoleniowych, Wojciecha Szkieli — oraz do działu szkoleniowego Polskiej Federacji Sportu pisma, w których zapytał o powody odsunięcia go od kadry narodowej szosowców. Od tamtego czasu sporo już minęło dni i tygodni, a do tej pory nie otrzymał odpowiedzi. Ostatnio — jak powiedział Mieczysław Nowicki — będąc w Warszawie, chciał dowiedzieć się, jaka jest decyzja w jego sprawie. Rozmawiano z nim na korytarzu, a z rozmowy tej wynikało, że działacze sportowi nadal na Mieczysława Nowickiego liczą, pomogą mu w zaopatrzeniu się w sprzęt, ale Nowicki już na udział w Wyścigu Pokoju nie ma co liczyć, na inne wyścigi — jeszcze się zobaczy.

Dobry zwyczaj każe odpowiadać na listy. Być może PFS otrzymuje tyle listów, że nie jest w stanie na nie odpowiadać. Byłoby to zrozumiałe, o tyle, gdyby Polska Federacja Sportu nie była instytucją powszechnej użyteczności, a powiedzmy — gwiazdą filmową, telewizyjną czy estradową. Jeśli takową nie jest, w co nikt nie wątpi, jeśli jest instytucją spełniającą społeczną rolę w Polsce, to tak jak wszystkie instytucje obowiązuje ją KPA, który dokładnie określa w jakim czasie należy odpowiedzieć na pisma do instytucji skierowane.

Mieczysław Nowicki dwukrotnie otrzymał „Kryształowe koło" katowickiego „Sportu", co świadczy, że do tej pory nie było z nim żadnych tak zwanych kłopotów wychowawczych. Nic też nie wskazuje, aby teraz były takie kłopoty. Mieczysław Nowicki trenuje tak jak wszyscy w swoim klubie, ale można mieć wątpliwości, czy brak kontaktu z najlepszymi kolarzami nie wpłynie ujemnie na jego formę i przygotowanie. Tu znów rodzi się drugie pytanie: przygotowanie do czego?

— Postawiono na młodych — powiedział Mieczysław Nowicki — to dobrze. Tak powinno być. Ale ja nie czuję się jeszcze stary. Nie spodziewałem się takiego zakończenia kariery sportowej. I w ogóle nie mam wcale zamiaru kończyć już z kolarstwem.

Historia z Mieczysławem Nowickim przypomina mi inną, tę jaka zdarzyła się z Józefem Zapędzkim, któremu WKS Śląsk też zakończył karierę sportową bez jego zgody zresztą. W obu wypadkach decyzje podjęto bez porozumienia się z zainteresowanym, bez rozmowy, bez próby wyjaśnienia, jakie ewentualnie są zarzuty, uwagi, czy zastrzeżenia.

Sprawa ppłk Józefa Zapędzkiego wyjaśniła się o tyle, że ma on w najbliższym czasie podjąć treningi i jeśli uzyska dobre wyniki, to być może weźmie udział w olimpiadzie w Moskwie. Uhonorowano go pucharem, medalem i dyplomem jubileuszowym, jako że WKS Śląsk obchodził niedawno trzydziestolecie. Rozważa się też i taką możliwość, że ppłk Józef Zapędzki szkoliłby w Śląsku swoich następców. Można powiedzieć, że sprawa znalazła właściwe zakończenie.

Inaczej wygląda sprawa Mieczysława Nowickiego. Dochodzą do niego różne wiadomości o nim samym. A to pytają go nagle, czy to prawda, że postanowił zakończyć karierę kolarską? Nic o tym nie wie, takiej decyzji nie podejmował. Dowiaduje się również, że nie będzie startował w poważniejszych wyścigach. Ale nikt mu takiej decyzji oficjalnie nie zakomunikował. Czasem wydaje mu się, że „Murzyn zrobił swoje i Murzyn może odejść", ale przecież byłoby to krzywdzące dla kolarza, który sobie na takie traktowanie nie zasłużył.

Rozumiem doskonale, że kierownicy kadry mają prawo dobierać sobie takich a nie innych zawodników, oni odpowiadają za przygotowanie kolarzy do różnych międzynarodowych imprez. Ale powinni też powiedzieć wyraźnie tym, których wśród kadrowiczów nie widzą, dlaczego tak a nie inaczej ich oceniają. Mieczysławowi Nowickiemu nikt tego nie powiedział. I to właśnie jest cała sprawa.

BOGDA MADEJ

P.S.
Już po napisaniu powyższego felietonu w „Życiu Warszawy" ukazał się artykuł pt. „Raz jeszcze o sprawie Nowickiego". Andrzej Fafara, autor tego artykułu przytoczył wypowiedzi działaczy sportowych, którzy próbowali całą sprawę wyjaśnić. Nie kwestionując prawa trenerów i działaczy do takiego sposobu kształtowania reprezentacji, jaki uważają za najlepszy, warto przytoczyć fragment komentarza Andrzeja Fafary:

„Czy trzeba było aż tylu miesięcy, aby całą historię wyjaśnić? Czy nikt w tym czasie nie mógł się zdobyć na to, aby z kolarzem szczerze porozmawiać? Zaoszczędziłoby to Nowickiemu nerwów i rozgoryczenia. Być może, nie zgodziłby się z opinią trenerów, ale przynajmniej znałby prawdę".

Nic dodać, nic ująć.

B.M.

Piątek 21. 12. 1974

Edward Szuster

WĘDRÓWKI ZIMĄ I LATEM

OPOWIEŚĆ

Zaraz po śniadaniu siada do maszyny.

„Budzyńska stała przed swą walącą się obórką zatroskona wyraźnie.

— Krowa mi coś słabuje.

— To nie dostanę mleka?

— E, mleko jest. W garnku. Niech pan sobie naleje.

Nalałem i zbierałem się do powrotu.

— Stęka i stęka.

— Może coś zjadła?

— Może. A ma się cielić.

— Prędko?

— O, jeszcze trochę. Ale coś jej jest. Niech pan popatrzy.

— Nie znam się na krowach.

— Nic nie szkodzi. Niech pan popatrzy.

Popatrzyłem. Krowinka wyglądała niemrawo, postękiwała.

— Widział pan? Stęka.

— A stęka.

— Jak do południa nie przestanie, to muszę dzwonić po weterynarza.

— Może lepiej nie czekać?

— Coś pan. Weterynarz kosztuje. Może jej przejdzie.

— Dobrze by było.

Pożegnałem się i poszedłem. Łażący biesiadnik wywlókł swych towarzyszy na środek drogi. Leżeli na niej, bezwładnie porozrzucani, i spali jak niemowlęta. Stał nad nimi Piotr, zaciekawiony, ożywiony, pogadując coś do kogoś zasłoniętego krzakiem. W pewnym momencie spojrzał za siebie, dostrzegł mnie i szurnął za płot. Kiedym podszedł do płotu, ujrzałem tam tylko najtrwardszego pijaka, pogrążonego we śnie. Piotr jakby się pod ziemię zapadł.

Po śniadaniu odziałem się nieco staranniej i powędrowałem po Barbarę, która przyjechać miała autobusem do Przygłowa. Zszedłem wąwozikiem na łąkę i drogą biegnącą u stóp skarpy — tej, która na górnym skraju zryta była okopami sprzed lat sześćdziesięciu i trzydziestu — doszedłem do krzyża pochylonego na rozdrożu. W pełnym słońcu, pod bezchmurnym niebem obszedłem zakręt Pilicy, minąłem barkowicką szkołę i rosnącą przy niej ogromną lipę i dalej, drogą biegnącą nad barkowickim zakolem rzeki szedłem mimo niewielkich zagajników i wyzierającego spod ziemi betonowego bunkra. Dopiero gdy dotarłem do lasu, skręciłem na ścieżkę w prawo i nad głębokim dołem niedoszłego bunkra i wybiegającym z tego dołu zygzakiem rowu dobiegowego zbliżałem się do sporego zagajnika rosnącego tam, gdzie ongiś stały baraki służące stacjonującemu na letnim obozie pułkowi piechoty z niedalekiego Piotrkowa. Jeszcze przez kilka lat po wojnie resztki tych baraków sterczały na otoczonej zagajnikiem polanie, aż wreszcie rozebrano je do cna, a teren dawnego obozu obsadzono sosenkami. Za zagajnikiem, niedaleko już Przygłowa, natknąłem się znów na resztki niemieckich umocnień, nigdy tu na szczęście nie wykorzystanych. Ścieżka najpierw przecinała zarośnięty trawą i młodymi drzewkami, a przecież jeszcze głęboki rów przeciwpancerny, potem biegła opodal wielkich jam, w których mieścić się chyba miały ziemianki czy stanowiska dla dział. Wychodząc z zagajnika ujrzałem domek campingowy wzniesiony na samym skraju skarpy górującej nad doliną Luciąży. Dalej wzdłuż drogi, też nad tą skarpą, stało kilka mniej, czy więcej wykończonych budynków wzniesionych na pewno w ostatnich latach. Wijąca się pod skarpą rzeczka mętna była, sinawa, a wisiał nad nią obłok słodkawego zaduchu. A przecież jeszcze kilkanaście lat temu piłem jej wodę przyklęknąwszy na żółciuchnym piasku dna.

Wydostałem się na asfaltową szosę, przeszedłem przerzucony nad Luciążą most, a rozkład jazdy umieszczony na autobusowym przystanku zorientował mnie, że mam jeszcze nieco czasu. Zsunąłem się więc z dźwigającego szosę nasypu w dół, między wielkie sosny rosnące rzadko na murawie łagodnie opadającej ku rzeczce i przysiadłem na potężnej dłużycy obok kilku innych osób czekających tu także. Dość szybki marsz — nigdy nie umiałem chodzić krok za krokiem — zmęczył mnie nieco, siedziałem więc spokojnie w cieniu wysoko rozgałęzionych koron i bezmyślnie gapiłem się na przystanek, na szosę i na niedaleki most. Ni stąd, ni zowąd przypomniało mi się, że w tym miejscu, na którym leży służąca mi za ławę dłużyca, widziałem w styczniu 1945 roku stertę równo poukładanych trupów hitlerowskich żołnierzy, z lekka już przysypanych śniegiem. Szedłem wtedy szosą w stronę Piotrkowa i co chwila przeganiały mnie sunące z chrzęstem i łoskotem radzieckie czołgi oblepione żołnierzami w uszankach.

Teraz świeciło czerwcowe słońce, a szosą co chwila mknęły samochody w stronę Sulejowa nad Pilicę. Na wysepce przystanku autobusowego tłoczyło się sporo ludzi zdążających chyba — świadczyły o tym ich świąteczne ubrania — do sulejowskiego kościoła. Każdy przybywający z Piotrkowa autobus oblegany był niemiłosiernie, więc byłem rad, że wysiadając w Przygłowie Barbara uniknie tego ścisku. W ogóle z satysfakcją myślałem o tym, że zobaczę ją niedługo i że spędzimy razem tych kilka dni urlopu.

Do wysepki przystanku podjeżdżał autobus z Łodzi, wstałem więc, wbiegłem na nasyp i uważnie przyglądałem się wysiadającym. Było ich kilkunastu, ale ta, na którą czekałem, nie przyjechała. Zaniepokoiłem się nieco. Umieszczona na przystanku tabliczka poinformowała jednak mnie, że za kilka minut powinien nadjechać następny łódzki autobus. Wróciłem więc na swoją dłużycę, na której nie siedział już nikt. Widocznie moi towarzysze oczekiwania albo wepchnęli się do odjeżdżającego autobusu, albo spotkali tych, na których przyjazd czekali. Przysiadłem na swoim miejscu i czekałem cierpliwie. W koronach sosen zaszumiało, od rzeczki nadciągnął lekki powiew niosąc woń rozgrzanego, nasyconego jakimiś chemikaliami błota.

Gdzieś od strony Sulejowa rozległ się gwizdek kolejki, a jednocześnie zza zakrętu wjechał na most autobus opatrzony tabliczką pozwalającą stwierdzić, że wyruszył z Łodzi. Znów wbiegłem na nasyp, znów przyglądałem się wysiadającym i wreszcie dojrzałem w drzwiach wozu Barbarę. Podbiegłem do niej i odebrałem z jej rąk jakieś dwie torby. Ciężkie były jak diabli.

— Co tam jest?

— Kapusta, kalafiory, pomidory...

Słuchałem tej wyliczanki, dzierżyłem w rękach wypakowane torby i na myśl, że będę musiał w południowym skwarze taskać je przez pięć prawie kilometrów, ogarnęła mnie złość. Przecież wszystkie te jarzyny i warzywa można było załadować do samochodu, którym trzy dni temu wyjeżdżałem z miasta z Magdą. Kapusta i kalafiory i pomidory znakomicie czułyby się w chłodnej piwnicy, mogły w niej leżeć przez parę dni. Spojrzałem na Barbarę, spostrzegłem, że jest znużona podróżą, która przeszła jej chyba w tłoku i duchocie, i uznałem, że nie pora na wymówki.

— Chodźmy — powiedziałem i ruszyłem w stronę mostu. Słyszałem, że niespiesznie idzie za mną wydychając z płuc autobusowy zaduch.

— Okropnie jestem zmęczona.

Westchnąłem w duchu, przystanąłem i poczekałem, aż mnie wyprzedzi. Potem krok za krokiem dreptałem za nią taszcząc w rękach te cholerne toboły z zieleniną. Okropnie nie lubię nosić większych pakunków w rękach, najchętniej zawieszam je na ramieniu lub zadaję na plecy, ale z tymi dwoma torbami nic się nie dawało zrobić. Gdybym chociaż miał pasek u spodni, to spróbowałbym przewiesić je po tragarsku, jedną na piersi, drugą na plecy. Jak na złość, wdziałem na siebie szorty obywające się bez paska, więc nie pozostawało mi nic innego, jak dygować te torbiska uwieszone na wyciągniętych wzdłuż ciała rękach. Z każdym krokiem czułem, jak nabrzmiewają mi obciążone łapy, jak na czole i za uszami zaczynają zbierać się krople potu. Rola tragarza, jaką musiałem pełnić na tej drodze, która niespodziewanie zapowiadała się być długa i uciążliwa, zezłościła mnie tym bardziej, że wiedziałem, iż dziesięć lat temu te dwie torby nie zrobiłyby na mnie żadnego wrażenia.

Wlokłem się za Barbarą odpowiadając na jej pytania albo monosylabami, albo jakimiś nieartykułowanymi pomrukami. Zaproponowała mi, że wraz ze mną poniesie jedną z toreb, ale pamiętałem, co mówiła o swym zmęczeniu, więc odrzuciłem tę propozycję. Przypomniałem sobie, że mam w kieszeni dobry scyzoryk i zdecydowałem, że gdy tylko dojdę do lasu, wytnę sobie tęgi kij i poniosę swe ciężary jak chiński kulis, zawieszone na końcach kija opartego o ramię. Przyspieszyłem kroku, wyprzedziłem Barbarę pragnąc jak najszybciej dotrzeć do lasu.

Dogoniła mnie, gdym usiłował na końcach okrzesanego drążka umocować te torby, ale one ani rusz nie chciały się tam trzymać i co trochę albo spadały na ziemię, albo zwalały mi się na plecy lub na piersi; ściśle mówiąc, gdy jedna spadała na ziemię, druga zsuwała się po drążku na plecy lub na piersi. Nie jestem zbyt szczodrze obdarzony cnotą cierpliwości, więc złościłem się i kląłem. Barbara zaproponowała, byśmy oboje ponieśli zawieszone na kiju torby, ale odmówiłem, twierdząc, że takie rozwiązanie uniemożliwia duża różnica wzrostu, choć w gruncie rzeczy znów myślałem o jej zmęczeniu. Poprosiłem, by nie czekała na mnie, że dogonię ją, gdy się z tymi tobołami uporam, i po pewnym czasie rzeczywiście jakoś dałem sobie z nimi radę. Sznurowadłami uwiązałem je na końcach drążka, zwiniętą koszulę położyłem pod spoczywający na ramieniu kij i pomaszerowałem boso po dobrze udeptanej ścieżce, wcale zadowolony ze swej przemyślności."

Przerywa pisanie, kręci się trochę po mieszkaniu i sięga po „Głos". Znajduje tam między innymi fotografię Centralnego Laboratorium Dziewiarstwa, tego samego, obok którego przechodził wczoraj z synem. Teraz może przekonać się, że budynek ma czternaście pięter.

Znajduje też — bez trudu, bo na pierwszej stronie — reportaż zatytułowany „19 miesięcy przed terminem PŁYNIE WODA DO ŁODZI". W reportażu tym czyta: „...Dziś woda z Pilicy popłynie do Łodzi. Odbędą się uroczystości, zamykające okres budowy. Gotowa jest już zapora na Pilicy. W każdej chwili można uruchomić urządzenia doprowadzające wodę do Łodzi. Przed przystąpieniem do podstawowych robót wykarczowano w rejonie środkowej Pilicy 1450 ha lasów. Teren wykarczowany stopniowo zalewany jest wodą i tworzy zalew sulejowski. Rejon zbiornika sulejowskiego jest inwestycją Ministerstwa Rolnictwa. Podstawowe roboty budowlane i specjalistyczne wykonały przedsiębiorstwa z Ministerstwa Budownictwa i Materiałów Budowlanych."

Czyta także wytłuszczone i ujęte ramką stwierdzenie: „Woda w zalewie sulejowskim uzyskała już pierwszą klasę czystości dzięki budowie nowych oczyszczalni ścieków w Koniecpolu, Niechcicach, Woli Krzysztoporskiej i Piotrkowie."

Zakłada palto i wychodzi przewietrzyć się nieco. Dziś jest nijako, śniegu ani przybyło, ani ubyło od wczoraj, zszarzał tylko mocniej tam gdzie go nie deptano, a na chodnikach trwa w konsystencji pośredniej między śniegolodem a wodą.

Przecina ulice Mickiewicza i ulicę Kościuszki i idzie na północ, ku widniejącemu w oddali nowemu wieżowcowi dźwigającemu na dachu napis „POCZTA". Taka to już moda — myśli — by na dachach domów ustawiać napisy o treści politycznej lub informacyjnej.

Idzie wzdłuż betonowego parkanu a potem opodal szczytu czteropiętrowej fabrycznej budy sprzed lat co najmniej siedemdziesięciu. Ilekroć przypomina sobie, że dom, w którym mieszka może być dla poszerzenia ulicy rozebrany, tylekroć złości go widok ciągle jeszcze sterczącego w samym środku miasta fabryczyska, dawno już zdegradowanego do roli magazynu.

(Dziś już by się nie irytował. Jego dom stoi ciągle na swoim miejscu, a po fabryce śladu już nie ma).

Często przechodził obok tego zabytku wyprowadzając psa na pasaż i skwer przed Pałacem Ślubów. Skwer ma kształt płaskiego kopca wznoszącego się ponad poziom chodników. Wtajemniczeni twierdzą, że pod trawnikiem znajdują się schrony przeciwlotnicze zbudowane w czasie wojny przez Niemców. Przed kilkunastu laty rozbierano schron na placu przylegającym do wieżowca mieszczącego ośrodek telewizyjny, widział wówczas jak kłopotliwa i pracochłonna jest taka rozbiórka. Wcale by się nie zdziwił, gdyby postanowiono, że schrony na skwerze pozostaną bo nikomu nie przeszkadzają. Czasem tylko myśli, że byłoby interesującą rzeczą zajrzeć, co też jest pod tym trawnikiem.

Idzie w poprzek skweru, a potem wzdłuż parkanu, na którym wielkimi literzyskami informowano przechodniów, w czym się specjalizują poszczególne przedsiębiorstwa budowlane na terenie Łodzi i województwa. Zastanawiało go zawsze, w jakim celu przekazuje się te informacje, skoro nie ma mowy o tym, aby zwykły obywatel mógł ze skutkiem zamówić — dajmy na to, w Łódzkim Przedsiębiorstwie Instalacji Sanitarnych i Elektrycznych ZISIEŁÓDŹ — doprowadzenie do porządku sfatygowanej armatury w łazience i nad zlewem. Bez zainteresowania mija więc napisy wymalowane na parkanie, za którym wznosi się doprowadzony już po dach wieżowiec o zgrzebnych jeszcze ścianach. Arkusze przezroczystej folii, wstawione w miejsce szyb, migocą w powiewach lekkiego nawet wiatru. Patrzy na to gmaszysko z uznaniem. Od czasu jego ostatnich kontaktów z budownictwem całkiem inaczej pracuje się w tym fachu. Wówczas, w Nowych Tychach, w początku lat pięćdziesiątych, najwyższym osiągnięciem techniki i mechanizacji była zwykła winda dostarczająca cegły i zaprawę trójkom murarskim.

Mija oparkaniony plac budowy, przechodzi przed pustym tarasem kawiarni — patrząc na leżący na nim śnieg trudno mu uwierzyć, że siadywał tu pod kolorowymi parasolami. Spojrzenie na kamienicę, z której w 1939 roku ewakuowała się komenda obrony przeciwlotniczej miasta, przypomina mu nazwisko patrona zakładów, przy których działała energiczna ciotka Dziunia. Przyczyna tego dziwacznego na pozór skojarzenia jest prosta: na czele komendy stał wówczas pułkownik Dzierżyński, brat Feliksa, lekarz. Jawi mu się na chwilę w pamięci twarz tego człowieka o dobrotliwych oczach ukrytych za szkłami binkli, które tworzyły u nasady nosa charakterystyczną fałdę.

Przechodzi przez Zamenhoffa naprzeciw ponurego gmachu byłego niemieckiego gimnazjum i idzie chodnikiem pod domami zbudowanymi w latach trzydziestych. Co było kiedyś na miejscach zajmowanych dziś przez te domy, nie pamięta wcale. Przypuszcza, że nic nie było, prócz ogródków leżących na tyłach domów stojących przy Piotrkowskiej. Takich ogródków jest jeszcze sporo, co trochę przedzielają one luźnym szeregiem stojące domy. Niejeden z tych ogródków zostanie chyba zabudowany podobnie jak pusty jeszcze kilka lat temu plac, który dziś dźwiga nowoczesny budynek mieszczący na parterze sklep PEKAO. Przed sklepem i w przebiegającym pod budynkiem przeświecie stoją, jak zwykle, uważni panowie zagadujący od niechcenia odwiedzających klientów. Wszystkim wiadomo, że zajmują się oni kupnem i sprzedażą bonów dolarowych lub wręcz dolarów. Przed dwoma laty przyjechał tu z operatorem filmowym i pusto zrobiło się przed sklepem i w przeświecie. Uczynni panowie nie lubią kamery.

Spogląda na gmach, który kilkanaście lat temu był jednym z najwyższych w mieście. Ten niepokaźny dziś sześciopiętrowiec mija zawsze z sympatią. Pracował tu przez kilka miesięcy w 1945 roku zaraz po powrocie do Łodzi. Mieszcząca się tu instytucja przygarnęła go w czasie okupacji dając i możliwość zarobku, i — co ważniejsze — wcale dobre papiery. Po wojennych peregrynacjach osiadł tu w dziale, w którym pod kierownictwem doświadczonego inżyniera pracowało dwóch oficerów pożarnictwa, jeden technik budowlany — jak się potem okazało, agent gestapo z południowych rejonów Polski — oraz wybitny pepesowski działacz łódzki z lat międzywojennych. Z początkiem 1946 roku zrezygnował z kariery technika ubezpieczeniowego, ale przed rozstaniem się z kolegami wziął jeszcze udział w zaimprowizowanej „rybce" wiglijnej, pierwszej powojennej „rybce". Ocknął się po niej w pustym biurze i stwierdził, że nie może dostać się do szatni, gdzie wisi jego palto i czapka. Przez ośnieżone i pogrążone już w mroku ulice wracał w kusej marynarczynie i z gołą głową popędzany mrozem i przeczuciami, że bez entuzjazmu przyjęte zostanie w domu jego spóźnienie na pierwszą powojenną wigilię. Nie zawiodły go te przeczucia.

cdn.

BOGUSŁAW SUŁKOWSKI

RAPORT SOCJOLOGA

W ankiecie rozesłanej przez Łódzki Dom Kultury 860 mieszkańcom Łodzi zadano pytanie, jakie kluby i domy kultury są bardziej potrzebne w mieście **działające przy zakładach pracy czy raczej w miejscu zamieszkania.** W odpowiedzi łodzianie czterokrotnie częściej wskazywali na osiedlowy dom kultury niż na klub przyzakładowy. W tym świetle kwestia lokalnego przypisania instytucji kulturalno-wychowawczych została zdaje się rozstrzygnięta jednoznacznie przynajmniej z punktu widzenia oczekiwań społecznych. Podobne założenie przyjęto już w niektórych wielkich miastach, jak np. Moskwa, otwarcie rezygnujących z budowy nowych przyzakładowych instytucji kultury na rzecz rozwijania placówek osiedlowych.

Problemowi temu postanowiono się przyjrzeć na gruncie łódzkim nie tylko w świetle ankiety ale nadto poprzez analizę publiczności bywającej w instytucjach obu interesujących tu nas typów. Gdyby w istocie potrzebne były tylko placówki osiedlowe, zlokalizowane przy miejscu zamieszkania musiałoby to przejawiść się faktem, że wszystkie kluby niezależnie od utrzymującego je mecenasa działałyby jako instytucje lokalno-terytorialne i nawet przyzakładowe domy kultury musiałyby przyciągać publiczność wyłącznie z najbliższej okolicy.

W procedurze badawczej zleconej przez ŁDK zadano 1.500 bywalcom klubów wylosowanych z terenu aglomeracji łódzkiej pytanie z jakiej odległości przybyli do placówki. Ponadto w placówkach związkowych pytano czy uczestnik jest pracownikiem zakładu odpowiedniej branży, czy jest w „swoim" klubie. Wynik obserwacji skojarzono nie tylko z faktem trzypoziomowego stopnia organizacji omawianych tu instytucji kultury (dom kultury, klub, świetlica), ale także różnorodnością mecenasów finansujących cały ruch (spółdzielczość mieszkaniowa, dzielnicowe wydziały oświaty i kultury organizacje związkowe zakładów pracy oraz inne organizacje społeczne). Przyjęto, że placówka przyciągająca ludzi z odległości ponad trzech przystanków lub z innej dzielnicy posiada zdolności oddziaływania pozalokalnego zapewne środowiskowo-zawodowego. Natomiast bywalców dochodzących z odległości 1 — 3 przystanków określono jako mieszkańców z najbliższej okolicy. Oczywiście okazało się, że najwyraźniej lokalne są świetlice spółdzielczości mieszkaniowej, których wszyscy uczestnicy pochodzą z sąsiedztwa. Podobna choć nieco rozleglejsza charakterystyke mają osiedlowe kluby i domy kultury. Jest jednak interesujące, że takie związkowe domy kultury są w znacznym stopniu przypisane terytorialnie, tylko mniej niż połowa ich uczestników dojechała tramwajem lub autobusem. A przecież nie należy sądzić, że załoga dużego zakładu utrzymującego dom kultury zamieszkuje w bezpośredniej jego okolicy. Stwierdzenie, że zakładowe domy kultury zgromadzą publiczność w 57 proc. wywodzą się z bezpośredniego sąsiedztwa rzuca po raz pierwszy światło na relacje między charakterem lokalno-terytorialnym i środowiskowo-zawodowym tych instytucji. Miejscowe przypisanie domów związkowych okazało się nawet nieco większe od takiego przypisania domów i klubów pionu miejskiego, utrzymywanych przez Urząd Miasta. Natomiast placówkami wyraźnie środowiskowo-zawodowymi okazały się mniejsze kluby przy poszczególnych zakładach, do których na wybrane imprezy dojeżdża z innego osiedla 66—67 proc. bywalców.

Dalej przejrzano dane tyczące miejsca zatrudnienia ludzi, których spotkano w instytucjach utrzymywanych z funduszu bezpośrednio wypracowanego przez załogi przemysłowe. Pytanie na ten temat zadawano w niektórych tylko placówkach związkowych i pomiar nie jest jeszcze całkowicie pewny. Jednakże zebrane dotąd informacje pozwalają przypuszczać, że związkowe ośrodki kultury w trzeciej części wypełniane są przez pracowników aktualnie zatrudnionych w zakładzie opiekującym się wybranym klubem czy domem kultury. Do tego dodać należy ok. 12-procentową grupę ludzi starszych, emerytów, związanych z tym właśnie zakładem. Uczestnicy spoza załogi tworzą ok. 27 proc. całości, taki sam udział mają dzieci i młodzież najczęściej zapewne z okolicy.

Widzimy zatem, że model placówki kulturalno-wychowawczej w mieście zmienia swą charakterystykę kolejno w świetle trzech różnych metod obserwacji. To co według świadectwa ankiety do próby mieszkańców Łodzi wydawało się przesadzone, to wróciło jako pytanie gdy wzięliśmy pod uwagę ekologiczne aspekty funkcjonowania istniejących dotąd placówek. Myśląc o przyszłości **mieszkańcy woleliby mieć klub raczej w pobliżu domu niż przy zakładzie.** Zbiega się to z opiniami publicystyki z lat 60, kiedy to niektórzy dyskutujący powtórny przyjazd do pracy na imprezę do klubu zakładowego przekornie nazywali „godzinami nadliczbowymi".

Także obserwacja publiczności największych placówek związkowych potwierdziła wyraźne, choć nie przygniatające ich przypisanie terytorialno-lokalne. Ale z drugiej strony najliczniejsze choć z reguły niewielkie kluby związkowe, jak widzieliśmy, rozwinęły usługi na rzecz własnej załogi i przynajmniej połowę ich klienteli stanowią ludzie związani z zakładem. Wyobrażenia i uświadamiane potrzeby mieszkańców zdają się wybiegać w jednym kierunku, ale praktyka funkcjonujących instytucji kulturalnego uczestnictwa wskazuje, że z równie dobrym efektem można podtrzymywać zasadnicza, opisana tu terytorialna i środowiskowa dwoistość w rozwoju ruchu kulturalno-wychowawczego.

Znacząca, może podstawowa część funduszy wydatkowanych w mieście na artystyczny i hobbystyczny ruch amatorski, na organizacje wypoczynku i rozrywek ludzi po pracy płynie bezpośrednio od samorządów większych i mniejszych zakładów produkcyjnych. I nie należy przypuszczać, by załoga któregokolwiek zakładu odmówiła w przyszłości wsparcia owych najpiękniejszych celów. Pytanie leży jednak raczej w tym jak owa zbiorowa wola wspomagania aktywności kulturalnej i wypoczynku przede wszystkim członków własnej załogi pogodzić z faktem, że ludzie woleliby wypoczywać w pobliżu domu bez dojazdów i niekoniecznie w gronie przyjaciół wprawdzie, z którymi jednak i tak widywać się trzeba osiem godzin dziennie. Nie znaczy to wcale, że chcemy kluby przyzakładowe całkowicie pozbawić kontaktu z ich własną załogą. Po pierwsze, działalność kulturalna samorządu na rzecz załogi nigdy nie wyczerpuje się na utrzymywaniu klubu. Jest jeszcze rozprowadzanie biletów do teatru, organizowanie okazjonalnych imprez i obchodów, organizowanie wycieczek i wiele innych. Po drugie, jest faktem, że tylko niektóre sposoby zabawy i wypoczynku mogą zachęcić pracownika do przyjazdu z odległego miejsca zamieszkania, i tych kilka najwyżej form pracy kulturalnej warto podtrzymywać lub ponawiać okresowo dla załogi.

Siłę przyciągania uczestników nawet z drugiego końca miasta ma systematyczna działalność w zespole amatorskim, dyskoteka względnie zabawa wśród dobrych znajomych oraz występy estradowe znanych artystów. Można tu dodać jeszcze tylko spotkanie ludzi starszych-emerytów na terenie zakładowego klubu. Wszystkie inne imprezy i przedsięwzięcia, a jest ich olbrzymia rozmaitość, siła rzeczy nakierowane będą raczej na mieszkańców najbliższych kwartałów ulic.

Poświęcono tu wiele miejsca ośrodkom wypoczynku i rozrywki przy zakładach pracy bowiem status tych instytucji wydaje się najbardziej dyskusyjny, a ich miejsce na kulturalnej mapie miasta zmienia się w zależności zastosowania do nich takiej lub innej formuły. Ale miejska sieć placówek kulturalno-wychowawczych dla ludzi dorosłych budowana jest nadto wysiłkiem spółdzielczości mieszkaniowej i dzielnicowych rad narodowych. Można nawet powiedzieć że po przebrnięciu przez etap w którym osiedlowe centra kulturalno-socjalne doznają w budowie pewnego poślizgu pod presją potrzeb mieszkaniowych, to właśnie spółdzielczość stanie się w Łodzi mecenasem najlepiej zaprojektowanych domów kultury. Nie znaczy to, że w odniesieniu do placówek osiedlowych nie ma problemów otwartych, że ich model jest oczywisty. Łodzianie, którzy podkreślili w ankiecie potrzebę wybudowania w ich osiedlu domu kultury nie zawsze myśleli o swych własnych w tym względzie potrzebach. Jest charakterystyczne, że równie często jak o domu kultury mówiono o domu dziennego pobytu dla ludzi starych. Z drugiej strony podstawową grupę bywalców takiej osiedlowej instytucji kultury stanowi obecnie i stanowić będzie w przyszłości młodzież, niezależnie od faktu, że wydział oświaty w dzielnicy dysponuje siecią wyspecjalizowanych placówek dziecięcych i młodzieżowych. Zauważyć trzeba, że dla ruchliwej młodzieży, dom kultury w osiedlu stanowi jedną tylko ewentualność obok kawiarni, kina, teatru, itd. Natomiast z uwagi na ludzi starszych, owych dysponujących znaczną ilością czasu, ale mało mobilnych emerytów, placówka osiedlowa na krańcach miasta powinna łączyć wiele funkcji, spełniać i zadania opiekuńcze i stwarzać szanse kontaktu ze śródmiejskim teatrem, galerią plastyki, z muzyką, kinem i z innymi instytucjami profesionalnymi dysponującymi własną siedzibą w centrum miasta.

Już na tym przykładzie widać, że różne kategorie publiczności mają sprzeczne wyobrażenia o funkcjach modelu placówki osiedlowej. Należy dalej stawiać pytania, jak domy osiedlowe przystosowują swój profil do nowych zjawisk społecznych, do przyrostu czasu wolnego, do perspektywy wolnych sobót. W trwającej rok, referowanej tu obserwacji nie zauważono jakiejś sezonowej zmienności form pracy domów na osiedlach. W środku lata ich działalność po prostu przygasa, ale nie widać śmielszych prób organizowania w tym okresie wypoczynku poza miastem.

Należy sądzić, że jeśli osiedlowy dom kultury czy jak nazywają go niektórzy, dom społeczny, ma gromadzić dorosłych mieszkańców, powinien umiejętnie wyrażać zasadniczą wielofunkcyjność. Usługi społeczno-socjalne łączyć powinny się tu w naturalny sposób z kulturalnymi, w tym samym gmachu sąsiadować mógłby samoobsługowy warsztat stolarski i pływalnia, restauracja i sala odczytowa, księgarnia i biblioteka, galeria obrazów i sklep o podobnym profilu. W naturalny sposób przenikać powinna się tu kultura symboliczna i bezpośrednio, aktywność artystyczna z zainteresowaniami użytkowymi i społecznymi.

W wywiadzie dążono dotąd do wyrażenia poglądu że osiedlowe domy kultury są patrzac futurologicznie, istotniejszym składnikiem miejskiej infrastruktury kulturalnej od klubów utrzymywanych przez innych mecenasów. Ale luźne czynione dotąd sugestie nie odpowiadają na pytanie z jakich elementów składać się ma całe osiedlowe centrum kultury. Klub, biblioteka, galeria, kawiarnia, restauracja, kino, sala gimnastyczna, basen, dom dziennego pobytu, itd.; które z tych oczekiwń mieszkańców pomieścić można w domu osiedlowym, które zaś funkcjonować mogą na zewnątrz osiedla, w infrastrukturze dzielnicowej. **Jaka w ogóle będzie w przyszłości rola owego domu społecznego pośród innych instytucji, tzw. drugiego układu. Czy wypracuje on swoiste funkcje i utrzyma atrakcyjność wobec teatru, śródmiejskiej kawiarni, lunaparku i knajpy? Jak będzie ewoluował w sytuacji wolnych sobót, rozwoju motoryzacji, masowych weekendów?**

Tego dziś nie wiadomo. A przecież architektoniczne programy osiedli, które dziś powstają za każdym razem czynią tu nieodwołalne postanowienia.

EWA PANKIEWICZ

DWA NIEZAPOMNIANE SPOTKANIA

Już po raz drugi w bieżącym sezonie artystycznym gościliśmy w Łodzi **Polski Teatr Tańca** kierowany przez wybitnego choreografa **Conrada Drzewieckiego.** Balet Poznański zaprezentował nam tym razem dwa przedstawienia. W czasie pierwszego wieczoru przygotowanego w całości przez realizatorów z Czechosłowacji (choreografia Pavel Smok, scenografia Miroslav Walter) obejrzeliśmy „Elegię nerealiczną" Karela Odstricila, „Listy intymne" Leosa Janacka i „Kryminałki Nedbałki" Oskara Nedbala. Na drugi wieczór złożyły się przygotowane choreograficznie przez Conrada Drzewieckiego, a scenograficznie przez **Krzysztofa Pankiewicza** „Modus vivendi" Norberta Kuźnika, „Odwieczne pieśni" do muzyki Mieczysława Karłowicza i „Przypowieść sarmacka" — kompozycja powstała wg „Bajki", uwertury koncertowej Stanisława Moniuszki.

Przedstawione spektakle przyniosły widzom przeżycia tym pełniejsze, że wszystkie prezentacje, połączone jedną głęboką myślą, dały nie tylko kolejny dowód konsekwentnego rozwoju linii programowej Polskiego Teatru Tańca, ale po raz wtóry utwierdziły nas w przekonaniu o niezwykle rozległych możliwościach interpretacyjnych tego świetnego zespołu. Mają one swój początek nie tylko w perfekcyjnym opanowaniu techniki tanecznej i precyzji oraz urodzie gestu, czy w umiejętnym posługiwaniu się wszystkimi dostępnymi sztuce baletowej środkami wyrazu dramatycznego, ale przede wszystkim w artystycznej dojrzałości poznańskich tancerzy; w dojrzałości, którą mierzy się emanującą ze sceny głębią i intensywnością przeżycia. Ten walor stanowi wspólny mianownik wszystkich kompozycji. Każda z tych wypowiedzi ma swój niebagatelny ładunek emocjonalny, który swoją siłą nie pozwala pozostać obojętnym na przekazywane treści, zmusza do myślenia i dyskusji, odkrywa przed nami nowe obszary wiedzy o człowieku i budzi nieuświadamiane uczucia. Specjalną zasługą zespołu Conrada Drzewieckiego jest nadzwyczaj piękna forma tych wypowiedzi, a jej najistotniejszą cechą — szlachetna prostota. Co jednak uświadomić sobie trzeba koniecznie to fakt, iż prostota taka, owa klarowność i jasność scenicznego kształtu przekazywanych treści zrodzić się mogła jedynie z wewnętrznego bogactwa przeżyć twórcy, które zespół ten powołał do życia i którego osobowość zaważyła na jego artystycznym charakterze.

Człowiek wobec samego siebie, wyobec drugiego człowieka, człowiek i otaczający go świat, ludzkie losy i ludzkie reakcje — ileż tu tematów, ile możliwości ich rozwinięcia, ile potencjalnie istniejących sposobów ich interpretacji.

Z niezwykłą siłą przemówiła do nas „Elegia heroiczna" Karela Ostricila. Utwór czeskiego kompozytora każe głęboko zamyślić się nad współczesną historią jego narodu. Dzieło to w warstwie muzycznej niezwykle ekspresyjne, wręcz wstrząsająco opowiada o sile człowieka, która kruszy więzy i rozniecа płomień nadziei. „Elegia heroiczna" stanowi zmetaforyzowany obraz współczesnej historii narodu czeskiego, historii obejmującej lata 1939—1945, okres okupacji i walczącego ruchu oporu. Jej muzycznej konstrukcji opartej na zasadzie narastającego napięcia, w pełni odpowiada zaproponowany przez Pavela Smoka układ choreograficzny. Wzrost napięcia znalazł swój wyraz w scenicznym kształcie utworu. Cóż dodać więcej? Żaden, choćby najbardziej precyzyjny opis techniki baletowej zastosowanej dla wyrażenia tych treści nie odda głębi przeżycia, jakie stało się udziałem zgromadzonych na sali widzów. Zostańmy więc tylko przy stwierdzeniu, że sposób operowania tą techniką, sposób jej wykorzystania pozostał jak zwykle w tym zespole bez zarzutu. **Krzysztof Brygider** i **Mariola Hendrykowska** wykonujący w „Elegii heroicznej" wiodące partie w pełni zasłużyli na brawa, jakimi nagrodziła ich publiczność zgromadzona w sali Teatru Wielkiego.

Zasłużone uznanie widzów zdobyły też przedstawione w drugiej części pierwszego wieczoru „Listy intymne" Leosa Janacka. Utwór ten (II kwartet na smyczki) przemówił do nas niespodziewaną siłą. Nadał mu bowiem Pavel Smok szczególny wyraz dramatyczny budując na jego muzycznej kanwie prostą historię człowieczego losu z jego nieustannym przeistaczaniem się z jednego istnienia w drugie, następne... Byłyby może owe „Listy intymne" jedną tylko z wielu opowieści mających na celu artystyczne uświadomienie odbiorcy ciągłości procesu życia na jednym konkretnym przykładzie, gdyby nie subtelny, moim zdaniem godny podkreślenia zabieg inscenizatora: unaoczniony pojedynczymi, konkretnymi zdarzeniami proces życia jawi się w ramie tłumu — bezimiennych postaci, których sceniczna funkcja sprowadza się nie tylko do organizacji prezentowanego obrazu, ale też, dzięki przypisanej tym postaciom hieratyczności gestu monumentalizuje ów obraz nadając mu znamię symbolu wielkiej Prawdy-Natury. **Roma Juszkat** i **Krzysztof Pastor** kreujący głównych bohaterów wykonali swe partie tak czysto, iż pozwoliło to wręcz smakować ich niebywały kunszt taneczny, urodę postaci i piękno gestu. Ich interpretacja wydawała się wypływać spontanicznie, od pierwszego momentu scenicznego istnienia.

Dowodem stwierdzonych na wstępie, rozległych możliwości interpretacyjnych Baletu Poznańskiego jest także jego umiejętność wykonywania partii zupełnie odmiennych w charakterze i stylu od tych, jakie stanowią trzon repertuaru. Przykładem — „Kryminałki Nedbałki". Komediowe libretto (wtórne zresztą, bo będące dziełem współczesnych inscenizatorów kompozycji powstałej wiele lat temu) przynosi typową „crimi-story" i wymaga pełnego opanowania techniki tańca charakterystycznego. Jak dobrze trzeba tańczyć, by móc zatańczyć tak „źle", jak zorganizowane i precyzyjne muszą tu być wszystkie układy choreograficzne, by całość sprawiała wrażenie kompletnej dezorganizacji — oto pytania paradoksalne, a przecież prawdziwe.

Mistrzem swej profesji okazał się (nie po raz pierwszy zresztą) **Conrad Drzewiecki** — twórca drugiego prezentowanego w Łodzi wieczoru baletowego. Mistrzowską rękę wielkiego choreografa czuje się w trzech prezentowanych w czasie trwania tego spektaklu kompozycjach. Wstrząsające w swym scenicznym wyrazie: „Modus vivendi" i „Odwieczne pieśni" wpisały się w naszą pamięć swym wyjątkowym dramatyzmem. „Przypowieść sarmacką" wspominać będziemy dla jej lekkości i wdzięku.

„Modus vivendi" (nagranie kompozytora N. M. Kuźnika) to dzieło szczególne. Zawarł w nim Drzewiecki głęboką myśl, swoją własną wizję ludzkości i budującego jej historię człowieka. Dawno nie zdarzyło mi się oglądać dzieła tak spójnego, układu choreograficznego tak bardzo odpowiadającego wewnętrznej dramaturgii muzyki, a jednocześnie tak samoistnego jako dzieła swej własnej sztuki, dzieła tak krystalicznie czystego, tak głębokiego w swej wymowie, a zarazem tak czytelnego i prostego w formie. Prezentowana w poprzednich kompozycjach świetność zespołu Polskiego Teatru Tańca nie wyczerpała wszystkich jego możliwości. Przedstawienie „Modus vivendi" jest dowodem, iż zespół ten w całości swojej sprosta najtrudniejszemu nawet zadaniu, że gotów jest przekazać nam każdą myśl, że na ten głos widzowie powinni zapaść w tę szczególną ciszę, jaka zapanowała tym razem na sali, gdy scena przedstawiała rodzącą się z martwego kłębowiska ciał świadomą swej siły ludzkość, której moc przewyższy z czasem ją samą i doprowadzi do samounicestwienia.

Polski Teatr Tańca — Balet Poznański. Mieczysław Karłowicz: Odwieczne pieśni.

Foto: J. Kulm

Przepiękne są „Odwieczne pieśni" do muzyki Mieczysława Karłowicza (wspaniale nagranej przez Wielką Orkiestrę Symfoniczną Polskiego Radia i Telewizji w Katowicach pod dyrekcją Bohdana Wodiczki). Biblijny temat Adama i Ewy, wygnania z raju i Kainowej zbrodni opowiedziany został przez choreografa płynną narracją baletową, tak jak kazała to uczynić rozlewna niemal, taka właśnie opowiadająca muzyka Karłowicza. Nie ograniczył ten sposób dramatycznego wyrazu poszczególnych fragmentów przedstawionej opowieści, pozwolił natomiast twórcy na komponowanie wewnątrz proponowanej całości urzekających swą urodą pojedynczych układów choreograficznych. Wyraźne są w nich wpływy malarstwa włoskiego renesansu (czerpał z niego także scenograf Krzysztof Pankiewicz). Przedstawienie to stworzyła głęboka, humanistyczna myśl o człowieku. Plastyczną konkretyzację wizji choreografa zawdzięczamy **Emilowi Wesołowskiemu, Bożenie Lasocie, Krzysztofowi Pastorowi** i **Zbigniewowi Misiudzie.**

Ostatnia z prezentowanych pozycji — „Przypowieść sarmacka" muzycznie oparta na „Bajce" Moniuszki (nagranej przez Orkiestrę Symfoniczną Filharmonii Narodowej w Warszawie pod dyr. Witolda Rowickiego) to po prostu utaneczniona „Zemsta" Aleksandra Fredry. „Po prostu" — łatwo powiedzieć: Kształt przedstawienia wyraźnie mówi o tym, ile kosztowało ono trudu. Trud ten był jednak opłacalny. Powstał bowiem spektakl znakomity choreograficznie, aktorsko i scenograficznie. Czytelne układy stworzone dla „Przypowieści" przez Drzewieckiego nie gubią ani jednej zawiłości fabuły, tancerze jego zespołu okazują się być świetnymi aktorami **(Wiesław Kościelak, Władysław Janicki, Lubomira Wojtkowiak, Roman Juszkat, Krzysztof Pastor.** Przypowieść sarmacka jest rubaszna i delikatna, po szlachecku zamaszysta i bardzo subtelna. Ostra czerwienią i turkusem kontuszy, łagodna różowym muślinem sukien. **Wspaniały, świetny teatr! Polski Teatr Tańca.**

MY RZĄDZIM ŚWIATEM?

Jeśli przeprowadzić błyskawiczny test pt. „poetycki cytat na temat kobiety" — większość powie bez zastanowienia: **Kobieto, puchu marny...**" Niektórzy jeszcze pamiętają dalsze trzy słowa: **„ty wietrzna istoto"**, mało kto wie, że to z mickiewiczowskich „Dziadów". Tak się jakoś przedziwnie stało, że kobieta, której „postaci zazdroszczą anieli", kobieta — lepsza (i piękniejsza) połowa ludzkiego rodu ma taką złą prasę u poety.

Oczywiście żartuję. To tylko ten cytat poszedł w lud, a przecież sam Mickiewicz pisał o kobietach rzeczy piękne, wzniosłe i prawdziwe.

Starszy pan **Józef Ignacy Kraszewski**, który — jak wiadomo — wypowiadał się głównie w prozie na temat kobiety, skrobnął wierszyk, może niezbyt kunsztowny, ale za to jakiej pełen admiracji:

„Kobieto, królowo, szatanie,
aniele,
Motylu, głazie, kwiecie,
Duchu z niebios w ludzkim
ciele,
Nie ze świata a na świecie.
Niepoznana, niepojęta
Odmienna i jednakowa.
I słaba i nieugięta
Niewolnica i królowa",

No, proszę! Ładny „puch marny" szanowni panowie! Więc skończmy te żarty.

Bo z kobietą żartów nie ma — jak już mawiał stary hrabia Fredro:

„Z kobietą nie ma żartu...
W miłości czy gniewie.
Co myśli nikt nie zgadnie, co zrobi nikt nie wie".

Natomiast zapomniany XIX-wieczny poeta, **Edmund Chojecki**, poszedł jeszcze dalej w swojej opinii na temat m. in. kobiet, pisząc:

„Bo kto w winku
nie smakował
Wstręt do kobiet czuje
Ten, jeżeli nie zwariował
To pewnie zwariuje".

Jest to opinia, której słuszności — niżej podpisany nie ośmiela się podważać. Tak to jest — niestety.

Trudno się więc dziwić, że kobiety zawsze fascynowały artystów. Nie mówię już o tych tysięcznych aktach, portretach i scenach rodzajowych — wystarczy otworzyć jakikolwiek album malarstwa, aby buchnęła w nas orgia kobiecości... Nie mówię więc o malarstwie, ale o poezji, która w minionych wiekach zastępowała mowy polityków, traktaty filozoficzne, gazety — słowem, miała poważne sprawy na uwadze... A mimo tego nawału zajęć polityczno-państwowych poeci kobietom zawsze poświęcali wiele miejsca w swojej twórczości.

Nawet osoba duchowna, jaką był niewątpliwie **Ignacy Krasicki**, zdobyła się na słowa, które jak sztandar powiewają dumnie nad lepszą połową ludzkiego rodu:

„Mimo tak wielkie płci naszej
zalety
My rządzim światem a nami
kobiety"

I w końcu mężczyźni dochodzili do wniosku, że furda te wszystkie poważne sprawy, że właściwie jedna rzecz jest naprawdę istotna, bo:

„Przeszłość w mogile,
przyszłość zakryta
Na progu boleść, nicość
u mety...
I jeden tylko kwiat tu
zakwita:
Miłość kobiety".

W ten sposób weszlibyśmy w kolejny poetycki temat-rzekę: miłość. I oczywiście w tej rzece znów napotkalibyśmy oszałamiającą mnogość pań. Bowiem bez kobiet nie ma poezji, bez kobiet nie ma miłości... Po prostu — jak w tym dowcipie: „Czy można żyć bez kobiet?" — „Owszem, można, ale co to za życie..."

No, właśnie.

WIDOK

GALERIA PISARZY ŁÓDZKICH

ANTONI KASPROWICZ

I nie mieć tej legendy
I „HARENDY".

Rys.: Stanisław Ibis-Gratkowski
Tekst: Mieczysław Michał Szargan

MECZ CZY OPERA?

Boy w swoich felietonach występował kiedyś przeciwko abonamentom teatralnym i wszelkim próbom „organizowania widowni". Twierdził, że w ten sposób przedłuża się sztucznie żywot sztuk marnych, zmniejsza się ilość premier, a więc zubaża działalność teatralną. Było to stanowisko wolnorynkowe, uznające prawo absolutnie wolnej gry podaży i popytu za najlepszy, obiektywny, automatyczny regulator wszelkiej działalności ludzkiej i najlepszego gwaranta poziomu tej działalności.

Dziś teatry — choćbyśmy nie wiem co mówili o aktywizacji kulturalnej mas, o rewelacyjnym rozbudzeniu masowych potrzeb kulturalnych, zialyby z małymi wyjątkami pustką, gdyby im nie organizować widowni. Jak to się robi? Ano krąży pani lub pan organizator od jednego zakładu przemysłowego do drugiego, od jednej instytucji do drugiej — i namawia. Ma wszędzie znajomych, z którymi musi żyć dobrze, być zawsze sympatycznym i pytać o zdrowie. Znajomi to zwłaszcza pracownicy rad zakładowych, którzy dzierżą w swej gestii środki na ukulturalnienie załogi a także zobowiązani są ułatwiać pracownikom kontakty z kulturą.

Więc taki działacz rady zakładowej bierze w komis jakąś tam ilość biletów, zaleconych mu przez organizatora widowni, po czym stara się je sprzedać pracownikom. O cale niebo lepszy jest taki działacz, który kupuje bilety na pniu celem ich bezpłatnego rozdania pracownikom. W ten sposób wykonuje plan ukulturalnienia i odnotowuje to skrzętnie w dziesięciu sprawozdaniach, teatr ma sprzedaną widownię czyli też wykonał plan w różnych jego aspektach i też prędziutko wypełnia, rubryczki sprawozdań organizator widowni otrzymuje prowizję od swej skutecznej działalności, a aktorzy grają do pustych krzeseł. Albowiem pracownicy zakładów, obdarowani biletami, wcale nie mają ochoty z nich korzystać i po prostu siedzą dalej przed telewizorami.

Na fali, jak to się mówi: „szeroko zakreślonej działalności kulturalnej" występuje też zjawisko zawierania umów przez wielkie zakłady z poszczególnymi teatrami. W takiej umowie, będącej jeszcze jedną formą mecenatu państwowego nad sztuką, tyle że zleconego przez państwo na przykład fabryce opakowań blaszanych lub wytwórni mebli giętych, zakład zobowiązuje się dostarczyć teatrowi określoną liczbę widzów rocznie; teatr nie zobowiązuje się właściwie do niczego, poza tym że będzie grał. Niestety, jak wiele różnych planów wycinkowych, także i ten bywa czasami nie wykonywany, bo np. zakład nie wypracował planowanego funduszu zakładowego i nie stać go na fundowanie biletów (no i dobrze! bo skoro nie wypracował, to znaczy że źle pracował, ludzie się obijali — za co im więc fundować kulturę?) albo pieniądze były, ale załoga wolała jechać pięć razy na grzyby i raz na wielki mecz niż zachwycać się czterogodzinną operą.

Nie mamy statystyki, która by odtworzyła prawdziwy stan rzeczy w teatrach. Ledwieśmy przeczytali raz w „Polityce", że pewien dobry teatr sprzedał w roku ubiegłym w kasie, zwyczajnie sprzedał zwyczajnym ludziom, naprawdę chcącym iść do teatru, około tysiąca biletów. Tysiąc na rok — to znaczy kilka na wieczór. Jeżeli teatr ten nie jest tragicznym wyjątkiem, to znaczy, że sytuacja jest niewesoła. Tym bardziej niewesoła, że mamy wiele teatrów znakomitych, wielu świetnych i znanych w świecie reżyserów, sporo dobrych aktorów. Co zrobić, żeby mieć jeszcze prawdziwą, kochającą teatr publiczność?

ĆWIEK

JAK TWORZĄ SIĘ MITY?

W nocy z 15 na 16 lutego 1978 roku na ringu w sali hotelu „Hilton Sahara" w Las Vegas doszło do sensacji. Dotychczasowy mistrz świata w boksie Muhammad Ali przegrał z Leonem Spinksem. Leon Spinks jest młodszy od Muhammada Alego o 12 lat i właściwie nie powinno w tym być nic dziwnego, że wygrał. W sporcie już tak jest, że starsi muszą ustępować miejsca młodszym. Zresztą nie tylko w sporcie.

Rzecz wydarzyła się daleko. Nic mi nie wiadomo, aby któryś z naszych pięściarzy miał zamiar zostać zawodowcem. Nie słyszałem też, aby któryś miał zamiar ubiegać się o tytuł mistrza świata zawodowców. Tam zresztą walczy się więcej niż trzy rundy, a niektórzy z naszych bokserów i trzech rund nie mogą wytrzymać. Można byłoby więc potraktować wiadomość z Las Vegas jako interesującą ciekawostkę sportową. I to wszystko.

Ale nie. W „Przeglądzie Sportowym" natrafiłem na zaskakujący tytuł: „NOWY KRÓL PRZEGRAŁ Z JANUSZEM GORTATEM". Z tekstu zamieszczonego pod tym tytułem wynikało niezbicie, że chodzi o mistrza w boksie — Leona Spinksa. Gdyby to była prawda, to, co głosił tytuł, to dopiero byłaby sensacja. I jest. Oto cytat z „Przeglądu Sportowego":

„I tutaj sensacja — ostatnim amatorskim pięściarzem i w ogóle ostatnim zawodnikiem, który wygrał walkę z Leonem Spinksem był Polak Janusz Gortat".

To istotnie sensacja. Czytam więc dalej:

„Wydarzenie to miało miejsce na warszawskim ringu podczas przegranego meczu z USA 13 października 1974 roku".

A więc jest to sensacja z myszką. I czym tu się chwalić?

Byłbym może nie zwrócił uwagi na tę sensację z myszką, gdyby nie był to klasyczny przykład tworzenia się mitu. Cztery lata temu nasz chłopiec pokonał jakiegoś boksera z USA i nikt się tym zbytnio nie przejął, bo w końcu polscy bokserzy mecz z Amerykańcami przegrali. Wszyscy o tym dokładnie zapomnieli i oto po czterech latach pokonany z Warszawy zostaje zwycięzcą znanym w całym sportowym świecie. Piszą o nim w gazetach, pokazują w telewizji, w kronikach filmowych. I to spotkanie sprzed czterech lat urasta nagle do rangi sensacyjnego wydarzenia, nabiera znaczenia symbolu, nobilituje naszych bokserów, którzy jakoś większych sukcesów na międzynarodowych ringach nie odnoszą. Zresztą tenże Janusz Gortat z tymże Leonem Spinksem przegrał na Olimpiadzie w Montrealu. Leon Spinks wywiózł z Kanady złoty medal, Janusz Gortat — brązowy.

Ale to wcale nie przeszkadza w dalszym tworzeniu się mitu. „Przegląd Sportowy" pisze:

„Można by z tego faktu wyciągnąć ogólniejsze wnioski; żeby zostać mistrzem świata, trzeba jako amator zmierzyć się z Polakiem. Trzej ostatni mistrzowie wszechwag, Foreman, Ali i Spinks są tego żywymi dowodami. Trela, Pietrzykowski i Gortat dla przyszłych zawodowców byli najbardziej wymagającymi i najtrudniejszymi przeciwnikami".

A mnie zawsze wydawało się, że, aby zostać mistrzem świata, to trzeba bardzo ciężko pracować nad swoimi umiejętnościami, nad formą i tak dalej. Tymczasem wystarczy zmierzyć się z Polakiem i cała sprawa załatwiona.

Byłbym się może i zgodził z takim stawianiem sprawy, gdyby nie pewne ale. Janusz Gortat wygrał wprawdzie z Leonem Spinksem, ale już w Montrealu był gorszy — przegrał w półfinale. Leon Spinks nie poprzestał na tym. Przeszedł na zawodowstwo i zmierzył się z legendą ringów — Muhammadem Ali. Zmierzył się i wygrał, chociaż była to dopiero jego ósma walka od czasu, kiedy stał się zawodowcem. A co teraz robi ten, który kiedyś pokonał króla? Pod koniec lutego wziął udział w międzynarodowych mistrzostwach Warszawy. Uznano go wprawdzie najlepszym pięściarzem mistrzostw, ale — jak napisał tenże sam „Przegląd Sportowy" — „w tegorocznych mistrzostwach stolicy z powodu kontuzji bądź choroby zabrakło na starcie wielu czołowych zawodników...".

Tworzenie tego rodzaju mitów niczemu nie służy i żadnego pożytku nie przynosi. Nasi bokserzy muszą zdobywać pozycję na międzynarodowej i krajowej arenie nie przez to, że kiedyś skrzyżowali rękawice z tymi, którzy dziś są wielcy, ale przez to, że sami będą zdobywali tytuły i medale swoimi umiejętnościami, wytrwałością i dobrą formą. Dla brązowego medalisty z Montrealu więcej powinno znaczyć, że przegrał w tymże Montrealu z Leonem Spinksem niż to, że wcześniej wygrał z nim w najlepszym meczu w Warszawie.

Tworzenie mitów w każdej dziedzinie życia przynosi tylko szkody. Mity są niekiedy wygodne, bo przesłaniają prawdę, ale też hamują postęp, skierowują uwagę w inną stronę, odwracają ją od spraw istotnych. Mity też działają uspokajająco. Fajno jest — mogą sobie powiedzieć na przykład działacze sportowi od boksu — bo kiedyś nasi chłopcy pokonywali bokserów sięgających po tytuł mistrza świata. Ale to było kiedyś. A jak jest teraz? Niech sobie na to pytanie działacze sportowi odpowiedzą sami.

MARCIN RODAK

ZAPISKI KRONIKARZA

Przed tygodniem zagalopowałem się trochę, pisząc iż w lutym na łódzkich scenach działo się niezbyt wiele, jako że tę opinię można odnieść jedynie do połowy, powiedzmy do dwóch pierwszych dekad miesiąca. Potem odmieniło się wszystko, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Tego samego dnia, ba, niemal o tej samej godzinie rozpoczęły gościnne występy w Łodzi mający swoją stałą siedzibę w Poznaniu **Polski Teatr Tańca** i krakowski **Teatr im. Słowackiego.** Odbyła się druga premiera **„Gasparone" w Teatrze Muzycznym, Teatr Powszechny** wystąpił z ogromnie interesującą realizacją **„Lotu nad kukułczym gniazdem" Kena Kesey'a** w reżyserii **Lidii Zamkow**, zaczem **Teatr Muzyczny** raz jeszcze wszedł na afisz, prezentując — już z początkiem marca co prawda — **„Gejszę" Sidney'a Jonesa** w wykonaniu studentów Wydziału Wokalno-Aktorskiego PWSM.

Ledwo ochłonęliśmy po dwóch miłych wizytach, a już zaczęła się trzecia, bodaj czy nie najciekawsza: oto **Teatr Polski z Wrocławia** pokazał gościnnie na scenie Teatru Nowego **„Kartotekę" Różewicza** w reżyserii **Tadeusza Minca** i nie graną dotąd w Łodzi sztukę **Eugene Ionesco „Gra w zabijanego"** w reżyserii **Henryka Tomaszewskiego.** Tyle zdążyło się zdarzyć na przestrzeni niespełna dwóch tygodni, a zanim ten numer „Odgłosów" ukaże się w kioskach będziemy mieli również za sobą premiere **„Klątwy" Wyspiańskiego w Teatrze Ziemi Łódzkiej.** Uff, gorąco, kronikarz ma pełne ręce roboty, nie narzeka jednak, tyle że wszystkiego równocześnie przy najlepszych chęciach omówić nie zdoła.

Zacznijmy więc chronologicznie od występu krakowskich gości, a konkretnie od bardzo głośnego — i starego już, bo pochodzącego z 1973 roku — spektaklu **„Lilli Wenedy" Słowackiego** w układzie tekstu i reżyserii **Krystyny Skuszanki.**

Przedstawienie poprzedzała fama o niezwykle odkrywczym odczytaniu i śmiałej inscenizacji, w recenzji z premiery — pomieszczonej później w tomie „Reżyser ma pomysły" — **Marta Fik** pisała na przykład:

„Lillę Wenedę" czyta Skuszanka poprzez „Grób Agamemnona". Nie bez podstaw, nawet tzw. „obiektywnych": wszak właśnie te dwa utwory połączył Słowacki w pierwszym wydaniu paryskim z 1840 roku.

Czytana poprzez strofy „Grobu Agamemnona" wymaga jednak „Lilla Weneda" pewnego wyraźnego komentarza. Otrzymuje go w sposób podwójny. Już w scenariuszu poprzez wpisanie jej we fragmenty „Kordiana", „Listu II do autora „Irydiona" i pieśni I, V, VIII i IX „Podróży do Ziemi Świętej". A także w realizacji: poprzez podstawowy zamysł inscenizacyjny.

W „Lilli Wenedzie" skreślono bowiem nie tylko część tekstu głównego, także didaskalia. Zniknęły groty, pustelnia, pobojowisko, zamek, Gopło. Zamiast nich wielka sala (scenografia Władysława Wigury) o szerokich, zwężających się ku górze płaszczyznach, ciemna, ponura. Może mieć sens metaforyczny, ale i całkiem dosłowny: oto salon romantyczny, „klub emigracyjny" — kawiarnia literacka Polaków, „Seans polskiej duszy z uwielbianym wieszczem. Królem Harfiarzy", jak pisze inscenizatorka w programie. Nie może więc być mowy i o kostiumie prasłowiańskim. Stroje XIX-wieczne. Jak nakazuje czas akcji: Paryż 1839 (lecz co znamienne: wewnętrzne charakterystyki postaci odpowiadają tym, które nakreślił Słowacki w „Liście II do autora „Irydiona").

Stop, koniec cytatu. Wszystko to prawda, opis jest nad wyraz precyzyjny, lecz autorce recenzji zamysł inscenizacji przekonywuje, mnie — niestety — nie bardzo. Spektakl jest chłodny, „mózgowy", powiedziałbym filologiczny, w tym mianowicie znaczeniu, że widz musi ustawicznie śledzić tok myśli inscenizatorki, zgadywać, co z czego zostało wzięte i na ile pasuje do tej układanki z tekstów poety. Gdyby jeszcze spektakl opromieniały wielkie role, gdyby to wszystko porywało, błyszczało, a nade wszystko dźwięczało czysto i jasno — no, wówczas byłbym może przekonany w sensie teatralnym, a tak wyszedłem prawie obojętny, wspominając co najwyżej doskonałego, giętkiego i wyrazistego Ślaza **(Wojciech Zietarski)** i szczęśliwie nie przesłodzoną, wytonowaną Lillę Wenede **(Maria Andruszkiewicz).** Kilka ról było za to z całą pewnością zupełnie niedobrych, tych jednak przez względy gościnności pozwolę sobie nie wymienić.

Trochę zniechęcony, a nade wszystko zaziębiony do obrzydliwości, opuściłem „Mazepę" i teraz żałuję, spektakl ten wzbudził bowiem niezwykle żywy oddźwięk: od głosów bliskich entuzjazmu po całkiem krytyczne. Racja, jak zwykle, leży pewno pośrodku, nie mogąc jednak rzeczy rozsądzić, chciałbym zwrócić uwagę na coś innego. Na niezwykle, wręcz zaskakujące powodzenie krakowskich gości, którzy grali już nie przy kompletach, a przy nadkompletach prawie, z tym że na sali wyjątkowo dużo widziało się młodzieży.

Znany teatr? Pewno, ale i autor dość znany, tymczasem w Łodzi od lat całych nie możemy doczekać się choćby i „Balladyny", już niekoniecznie na motorach czy motorowerach, ale niechby i pieszej, byle dobrze zagranej i wystawionej solidnie...

Tyle prawem dygresji. Wracając do łódzkich wydarzeń chciałbym przynajmniej wspomnieć „Lot nad kukułczym gniazdem" — komuś ten spektakl może wydać się doskonały, komuś innemu nieco mniej dobry, ale że wzbudzi żywy oddźwięk u publiczności, to zdaje się być pewne. Premierowa widownia — a nie czekałem tzw. „prasówki" — reagowała znakomicie, ze szczerym zainteresowaniem i przejęciem, a potem biła długie, zasłużone oklaski. Moja cząstka oklasków była w pierwszym rzędzie przeznaczona dla młodego aktora **Ryszarda Mroza** za rolę Murphy'ego, ale dla pozostałych wykonawców i realizatorów również.

O przedstawieniu Teatru Powszechnego, jak i o wizycie wrocławskich gości będziemy oczywiście pisać szerzej i oddzielnie, a dziś już kończę i kłaniam się Państwu pięknie.

JERZY PANASEWICZ

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa — Książka — Ruch". Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi. Adres redakcji: ul. Mickiewicza 12, kod poczt. 90-438. Telefony 652-44 i 680-99. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch". Nr indeksu 26762. Zam. 495. I-9.